№ 50. Warszawa, dnia 12 Grudnia (30 Listopada) 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów naszych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty. Warunki wydawnictwa naszego pozostają na rok przyszły też same.

W przyszłym tygodniu nakładem **Prawdy** wyjdzie ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich, popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; **do nowego roku** wszakże robimy ustępstwo dla abonentów naszych, którzy nabyć ją mogą za rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Z SEJMU NIEMIECKIEGO.

Jak dalece przykre uczucie zaciążyło na sercach narodu i jego przedstawicieli, okazał pierwszy dzień obrad nad interpelacyą Koła polskiego. Wspomnieliśmy już dawniej, że na żądanie niemców, którzy ją również podpisali (katolików, postępowców i socyalno-demokratów) została ona oszlifowana ze wszystkich ostrych kantów i utoczona w pigułkę do przełknięcia łatwą. Poprostu 168 posłów zapytywało „rząd państwa, czy fakt (wypędzenia poddanych austryackich i rosyjskich) i jego uzasadnienie są mu znane, oraz czy poczynił lub zamierza poczynić jakieś kroki przeciw dalszemu stosowaniu tego środka?" Zaledwie ją wniesiono, wstał ks. Bismark i odczytał sejmowi list cesarski, zastrzegający nietykalność praw korony pruskiej przeciw chęci ścieśnienia ich kontrolą innych państw związkowych. Kanclerz sądził, że bomba, rzucona z tak wielkiego działa, rozbije przeciwników a ich chorągiew podrze w szmaty. Ale zawiódł się i zawiódł okropnie. Nieprzestraszony tym pociskiem, zażądał głosu człowiek, który jest mistrzem w strategii parlamentarnej, którego dotąd nikt w tej grze nie zamatował, który najśmielej i najuczciwiej uderza w samowolę dyktatury — przywódca katolików, dr. Windhorst. Oświadczył on, że mimo pisma cesarskiego domaga się obrad nad interpelacyą a tylko ze względu na potrzebę głębszego rozważenia sprawy, zawikłanej nową nicią, proponuje odroczenie. Wzburzony kanclerz chce natychmiast mówić, a gdy prezydent odpowiada mu mimicznie, że nie może przerwać Windhorstowi, blady z gniewu „sługa swego pana" i pan wszystkich niemców daje znak członkom Rady związkowej i wraz z nimi opuszcza salę. Już w tej chwili, gdy posłuszni radcy uciekali, potykając się w wąskiem przejściu, uroczyście rozpoczęty dramat zamienił się na farsę. Ale dopiero dalszy ciąg dostarczył jej wybornego materyału. Ponieważ z kolei na porządku dziennym obrad stała pozycya etatu, dotycząca pensyi kanclerza i wydatków na jego urząd, więc Windhorst skorzystał ze zwyczaju krytykowania przy tej sposobności działań dyktatora i zaczął chłostać edykt pruski. Nagle powraca Bismark ze swym orszakiem i zabiera głos w sprawie wydaleń, tej samej, którą przed chwilą chciał zabić listem cesarskim. Oświadcza on, że środek rządu pruskiego w oczyszczeniu prowincyj wschodnich z polaków uważa za „nadzwyczajnie mądry" i przyjmuje zań na siebie zupełną odpowiedzialność. „Przypominam sobie — rzekł on — że w r. 1830 i 1832, kiedy byłem jeszcze w uniwersytecie, szeroko rozpostarło się niemieckie sentymentalne marzycielstwo na korzyść polaków, na korzyść wreszcie każdego obcego, anti-niemieckiego rewolucyonisty, bez względu na to, jak się nazywał. Małomiasteczkowy liberalizm śpiewał wtedy „Jeszcze Polska," a wszędzie odzywały się żałosne i łzawe lamentacye. Za liberalnego, ukształconego, przyzwoitego uchodził rodowity niemiec, przedstawiciel jedności niemieckiej, który marzył o polakach." Dziś wszakże prąd taki—według kanclerza — jest niemożliwy a przynajmniej rząd pruski go powstrzyma. Polacy muszą być wytępieni — amen!

Nie będziemy przytaczali odpowiedzi na tę klątwę, między któremi ze strony niemieckiej wyróżniła się mowa prof. Hänla, a z polskiej J. Kościelskiego, napomnianego nawet za energiczne słowa przez prezydenta. Natomiast zaznaczymy fakt, że większość dzienników, nawet przyjaznych rządowi, uznała porażkę Bismarka za niewątpliwą. Przedewszystkiem wyrzucają mu one nadużywanie powagi cesarskiej w zatargach z sejmem, które ją może bardzo osłabić a w każdym razie zdradza chęć okrywania samowoli i błędów imieniem monarchy. Dalej dowodzą mu, że interpelacya stoi na gruncie konstytucyi i nie obraża praw korony pruskiej. Twierdzą wreszcie, że Bismark, chybiwszy strzałem z broni wielkiego kalibru, przyjął walkę, której odmówił racyi prawnej — i tym

sposobem się ośmieszył. „Mniejszym, niż wczoraj — powiada *Frankf. Ztng.* — rzadko kiedy kanclerz okazał się światu, tak małym, że nawet miłosne oczy narodowo-liberalizmu nie zdołały w nim nic odkryć z narodowej wielkości.“

Rozprawy tedy nad interpelacyą — jak rzekliśmy — zostały odłożone. Czy ona wszakże wejdzie ponownie na porządek dzienny, dotąd jest jeszcze wątpliwem. Zarówno bowiem katolicy, jak postępowcy boją się posuwać dalej starcia i sprowadzać rozwiązania parlamentu. Jeden, dwu, trzech posłów posiada wobec Bismarka istotną odwagę, ale reszta korzy się niewolniczo a gdy nawet czasem uczuje chęć najeżenia grzywek, spostrzegłszy pałeczkę pogromcy, natychmiast podwija ogonki i wraca do posłuszeństwa.

Ale chociażby nawet interpelacya polska została usuniętą, jej przedmiot wejdzie pod obrady. Socyalno-demokraci bowiem złożyli wniosek następujący: „zważywszy, że gromadne wydalania rosyjskich i austryackich poddanych rosyjskiej i polskiej narodowości sprowadzą międzynarodowe powikłania, zważywszy itd. — sejm niemiecki zechce uchwalić prośbę *do kanclerza*, ażeby postarał się o szybkie cofnięcie tego rozporządzenia, szkodzącego czci i interesom narodu niemieckiego.“ Na żądanie prezesa Izby wykreślono wyrazy: „szkodzącego czci i interesom narodu niemieckiego;“ cały wszakże wniosek a z nim sprawa wydaleń stanie znowu przed sądem sejmu. Naturalnie co zrobi ów kanclerz, do którego prośbę zwrócono — zgadywać nie potrzebujemy. Ale i komedya może mieć swój sens moralny. Dla ks. Bismarka jest on już wyraźny: błędy i grzechy największego z żyjących polityka pomnożyły się o jeden bardzo ciężki, który mu wskazał granicę, gdzie siła nie może przejść przed prawem.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRZEDSIĘBIORCÓW.

Zarząd rosyjskiego Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu przesłał oddziałowi warszawskiemu projekt prawa o odpowiedzialności właścicieli fabryk względem robotników w razie nieszczęśliwych wypadków. Projekt ten, opracowany przez komitet przemysłowy ministeryum skarbu, był przed paru tygodniami przedmiotem ożywionych rozpraw na posiedzeniach Towarzystwa. Oto główne jego zasady:

Przedsiębiorca winien wynagrodzić robotnika, jeżeli wypadek nieszczęśliwy nastąpił: 1) skutkiem wadliwości urządzeń fabrycznych, 2) skutkiem niedbalstwa służby dozorującej lub takiego rozporządzenia właściciela, czy też jego zastępcy, które wywołało katastrofę, 3) w razie chorób szczególnych, zależnych od danej fabrykacyi, a których uniknąć można przez właściwe stosowanie środków hygienicznych i sanitarnych.

Wysokość wynagrodzenia oznacza się w stosunku procentowym do pobieranej przez robotnika płacy.

W razie śmierci robotnika z winy przedsiębiorcy, ten ostatni obowiązany jest rodzinie zmarłego wynagrodzić koszta leczenia, pogrzebu i straty majątkowe, z powodu choroby poniesione, a nadto wypłacać: wdowie— 50% płacy męża dożywotnio lub do powtórnego zamąż pójścia; dzieciom małoletnim $16^1/_3$, a jeżeli matka umrze lub ponownie wyjdzie za mąż — 25%, rodzicom zmarłego $17^1/_3$%. Wszystkie te pensye razem wzięte nie powinny jednak przewyższać 75% płacy.

W razie kalectwa, pozbawiającego robotnika zdolności do pracy, właściciel, oprócz zwrotu kosztów leczenia i strat majątkowych z przyczyny choroby, winien płacić poszkodowanemu dożywotnio całkowity zarobek, poprzednio pobierany, jeżeli niezdatność jest zupełna, lub też 25—75%, jeżeli tylko częściowa.

Właściciel niema prawa zawierać z robotnikami żadnych umów dobrowolnych, zmieniających powyższe przepisy.

Obowiązek dowodzenia braku winy spoczywa na właścicielu. Przedawnienie dochodzenia jest jednoroczne.

P. Paszkowski, który opracował obszerny referat w tym przedmiocie, postawił jeszcze dwa wnioski, uzupełniające niejako projekt: 1) ażeby odpowiedzialność właścicieli względem robotników była jaśniej określoną i 2) ażeby wysokość wynagrodzenia w każdym szczególnym wypadku oznaczał sąd.

Projekt, który dla stosunków robotniczych w Cesarstwie jest bardzo ważnym, ale w porównaniu z przepisami najnowszych prawodawstw fabrycznych dosyć umiarkowanym, wywołał w Towarzystwie wielką burzę. P. Handtke uważa prawo takie: za „niebezpieczne, bo dotyka rzeczy drażliwych.“ W stosunkach z robotnikami „wystarcza samo poczucie obowiązku u fabrykantów.“ P. Kokeli chce, ażeby obowiązek dowodzenia winy leżał na dochodzącym. Pp. Kosuth i Bardzki twierdzą zgodnie, że nowe przepisy są dla nas zbyteczne, że kodeks Napoleona aż nadto wystarcza, a tworzenie nowego prawa wywołałoby „szkodliwy zamęt.“ Zresztą p. Kossuth widzi najlepsze rozstrzygnięcie sprawy w utworzeniu instytucyi wzajemnych ubezpieczeń od wypadków. P. Bardzki znowu sądzi, że rząd mógłby, co najwyżej, uprzystępnić możność dochodzenia, uwalniając robotników od kosztów sądowych. Słowem, co głowa to rozum, przepraszam, na jeden rozum składało się czasem i po dwie głowy. P. L. Krasiński wreszcie, streszczając te rozbiegające się zdania, z talentem prawdziwego sportsmana, sprzągł je w jeden wniosek, rozumie się, jednomyślnie przyjęty.

Wniosek ten brzmi tak: Dla stosunków naszych kodeks Napoleona zupełnie wystarcza. Gdyby zaś nowe przepisy miały być wprowadzone, to byłoby pożądanem zastosowanie zasad *celniejszych prawodawstw*, wkładających ciężar dowodzenia nie na pozwanego, lecz na powoda.

Według nas, nie należy stawiać wniosków w sprawie, której się dokładnie nie zna. Bo oto właśnie *celniejsze* prawodawstwa fabryczne w razie nieszczęśliwego wypadku uważają właściciela zawsze jako winnego, jeżeli nie dowiedzie przeciwnie. Argumenty innych mówców mijają się również tak z zasadami nauki, jak i z doświadczeniem praktycznem tych krajów, gdzie prawodawstwo fabryczne nie od wczoraj istnieje. Ale za nim poznamy, jak

---

PARADOKSY ŻYCIA.*)

II.

Julka.

W zimny dzień listopadowy pochowali jej matkę. Nie miała krewnych. Znajome rozeszły się po pogrzebie, nie zapytawszy nawet o nią. Do sutereny, w której mieszkała z matką, wprowadził się już jakiś robotnik; zresztą — nic tam nie pozostało. Dwumiesięczna choroba zabrała wszystko. Ręczna maszyna do szycia, dwie poduszki i trochę gratów gospodarskich przeszło już dawno w ręce ulicznych handlarzy.

Stróżka przenocowała ją u siebie; rano dała śniadanie, a potem kazała iść na ulicę żebrać, mówiąc:

— Mam w domu sześć własnych gęb do żywienia; szukaj szczęścia u litościwych ludzi.

Tłumione łkanie podrywało jej piersi. Bała się głośno płakać, aby nie obudzić stróża, który po nocnej „stójce“ chrapał na tapczanie.

Z natury była nieśmiałą; wobec nieznajomych czuła trwogę: dotąd przestawała tylko z „mamą.“

Powoli wyszła na ulicę, kłapiąc po topniejącym śniegu podartymi kaloszami, znalezionymi na śmietniku. Powiew zimnego, wilgotnego powietrza zatrzymał ją na chwilę. Otuliła się szczątkami wytartej chustki i podążyła dalej. Hałas ulicy z potrącaniem przechodniów i brzękiem sanek przeraził ją niewypowiedzianie. Straciła wszelką odwagę i bezwiednie zawróciła do „swego“ domu.

Lękała się jednak wejść, aby nie rozgniewać „pani stróżki,“ usiadła więc skulona przed bramą.

Wiatr zawiewał z boku, kłębiąc w powietrzu topniejące płatki śniegu. Biegające po raz pierwszy we wczesnej zimowej porze sanki migały przed jej oczami. Jedne z nich zatrzymały się przy bramie. Wysoka, pulchna kobieta, ubielona na twarzy, zeskoczywszy szybko ze stopnia, wpadła do sieni i skręciła na schody. Julka wstała z ziemi i pobiegła za nią. Znała wysoką „panią“ z widzenia: to ją ośmieliło. Minęła kilka stopni, idąc tuż obok niej; wreszcie pociągnęła ją za suknię.

Panna Nana obejrzała się i zapytała, czego chce?

Julka, nasunąwszy chustkę na oczy wchodziła dalej na schody, nic nie odpowiadając.

Stanęły przed drzwiami mieszkania na pierwszem piętrze.

Panna Nana zadzwoniła:

Otworzono jej.

Julka szarpnęła ją po raz drugi za suknię już prawie w przedpokoju.

— Czegoż chcesz odemnie? zapytała powtórnie panna Nana ze zniecierpliwieniem.

I teraz odpowiedzi nie było. Dziewczynka trzymała ją jednak za suknię tak mocno, jak gdyby palce jej przyrosły do fałd ciemno-brązowej materyi.

— Skąd ona jest?—spytała panna Nana służącej, wskazując na Julkę.

Służąca opowiedziała historyę zmarłej z nędzy jej matki, która mieszkała w tym samym domu, w suterenie.

Panna Nana poprowadziła ją do najbliższego pokoju, zrzuciła z niej chustkę, przyjrzała się dokładnie rysom jej twarzy i kazała zostać. W pół godziny posłała służącą po szwaczkę.

Po kilku dniach Julka, ubrana w białe futerko, z białą czapeczką na głowie, białą mufką i białemi kamaszami na nogach, wsiadła z nią do sanek i przez godzinę jeździła wzdłuż szerokich, zeschłych kasztanami wysadzanych alei, gdzie przy

*) Wspólny ten tytuł opuszczony został w poprzednio drukowanej powiastce *Leonia*, z którą obecna nim jest związana.

sprawa ta stoi w Europie, posłuchajmy co mówi ów kodeks Napoleona, który „w naszych stosunkach najzupełniej wystarcza.“

O odpowiedzialności fabrykantów dotyczą artykuły 1382, 1383 i 1384, które przytaczamy dosłownie.

1382. Wszelki jakikolwiekbądź czyn człowieka, który zrządza szkodę drugiemu, obowiązuje tego, z którego winy nastąpił, do wynagrodzenia szkody.

1383. Każdy odpowiedzialny jest za szkodę, jaką zrządził nietylko swoim czynem, lecz nadto swojem niedbalstwem lub nieroztropnością.

1384. Odpowiedzialność ma miejsce nietylko za szkodę zrządzoną czynem własnym, lecz nadto za szkodę zrządzoną czynem osób, za które kto odpowiada, lub przez rzeczy, które ma pod swojem zawiadywaniem.

Artykuł ostatni dodaje jeszcze, że rodzice odpowiedzialni są za szkody wyrządzone przez dzieci, „panowie i dający zlecenie — za straty zrządzone przez ich służących i przełożonych, w wykonywaniu obowiązków, jakie im zlecili,“ rękodzielnicy i nauczyciele — za uczniów i terminatorów.

Odpowiedzialność ustaje wtedy tylko, jeżeli wymienione osoby dowiodą, że nie mogły przeszkodzić czynowi, który przyniósł szkodę.

Na ten ustęp zwracamy uwagę czytelnika, świadczy on bowiem, że nawet ów kodeks Napoleona, który prawnicy nasi czczą jak żydzi Rodały, niejako wkłada obowiązek dowodzenia braku winy na pozwanego. Rzeczywiście, przepisy kodeksu francuskiego jasno i stanowczo określają zasadę odpowiedzialności przedsiębiorców i do pewnego stopnia wystarczyć mogą we Francyi, gdzie niższe warstwy ludności posiadają już świadomość swoich praw, gdzie istnieją syndykaty i stowarzyszenia robotnicze, gdzie wreszcie sądy są bardziej przystępne. Ale i tam jednak powstał cały szereg przepisów uzupełniających i specyalne prawodawstwo fabryczne rozwija się, nie wywołując ani niebezpieczeństw, ani „szkodliwego zamętu.“

W Anglii do 1880 r. nie było osobnej ustawy o odpowiedzialności przedsiębiorców. Ale istniało tam prawo zwyczajowe, że każdy odpowiada nietylko za szkodę zrządzoną osobiście, lecz i za swych podwładnych. *Qui facet per alium facet per se.* Sędziowie jednak, wybierani z klas uprzywilejowanych, często bardzo wydawali wyroki na niekorzyść robotników, pod pozorem, że fabrykant i pracownicy uważani być powinni jako osoby „zajęte wspólnie,“ w takim zaś wypadku odpowiedzialności niema. Wzrastająca ciągle liczba nieszczęśliwych wypadków, w których przeważnie winnymi byli fabrykanci, skłoniła wreszcie parlament do wydania oddzielnego aktu. Przedsiębiorca odpowiada za nieszczęścia, których przyczyną było: 1) niewłaściwe ustawienie lub działanie maszyn, 2) niedbalstwo dozorców, 3) niedbalstwo majstrów lub innych osób, mających prawo rozkazywać robotnikowi, 4) niedokładność przepisów, wydanych przez fabrykanta lub niedbalstwo osób czuwających nad ich wykonaniem. Maximum wynagrodzenia równa się trzyletniemu zarobkowi. Robotnik i jego rodzina sami powinni wnieść podanie do sądu hrabstwa.

Wobec tego, że wszyscy prawie robotnicy angielscy należą do wielkich stowarzyszeń, które opiekują się swymi członkami, ostatni ten artykuł nie jest bynajmniej dla nich uciążliwym. Dodać przytem trzeba, że prawodawstwo fabryczne angielskie zawiera mnóstwo postanowień o środkach ostrożności, sanitarnych itp., wykonywanych ściśle, ponieważ pilnują tego inspektorowie, niedbałym zaś lub niechętnym właścicielom grozi odpowiedzialność pieniężna i kryminalna.

Prawo angielskie posiada wszakże jedną wielką wadę: brak w niem mianowicie zakazu przedsiębiorcom uchylania się i unikania skutków prawa za pomocą umów dobrowolnych z robotnikami. Rzeczywiście właściciele skorzystali natychmiast z tego i zaczęli zmuszać pracujących do zabezpieczania życia i zrzeczenia się w ten sposób wynagrodzenia. Manewr ten nie przyniósł przecie oczekiwanych rezultatów, związki robotnicze stanęły opornie i zaczęły się wielkie bezrobocia, zwłaszcza w przemyśle górniczym. W 1883 r. wniesiono do parlamentu nowy bil, który uzupełnia i poprawia przepisy aktu z 1880 r.

Prawo niemieckie (Das Haftpflicht Gesetz 1871) stanowczo powiada, że właściciel odpowiada za wszelkie nieszczęśliwe wypadki, jeżeli przyczyną ich nie była własna nieostrożność poszkodowanego. Zaletą tego prawa jest właśnie jego specyalność, której tak lękają się nasi prawnicy. Procedura sądowa bowiem jest znacznie uproszczoną i tanią; sąd posiada zupełną swobodę oceny dowodów i określenia sposobów wynagrodzenia, którego wysokość wszakże jest w pewnych granicach oznaczoną. Główną wadą niemieckiego prawa jest pewna dwoistość w oznaczeniu na kim spoczywa t. z. *onus probandi.* W pewnych przedsiębiorstwach — jak np. koleje żelazne — właściciel, lub też zarząd powinien dowodzić swej niewinności, w innych znowu robotnik, że nie był nieostrożnym. Drugą wadą jest brak odpowiedzialności kryminalnej, fabrykant więc, który ubezpieczył swoich robotników, sądzi, że spełnił wszystko, co doń należy i nie dba wcale o zachowanie środków ostrożności. Tymczasem społeczeństwu idzie nie tyle o to, żeby członkowie jego w razie nieszczęścia byli wynagradzani, ile o to, żeby wypadki kalectwa i śmierci zdarzały się jak najrzadziej.

Uczeni i opinia publiczna w Niemczech wiedzą dobrze o tych słabych stronach prawodawstwa fabrycznego, nie czynią zaś żadnych zmian dlatego, że wprowadzenie państwowego ubezpieczenia robotników i inne projekty rządowe stawią sprawę bardzo szeroko i w razie przyjęcia ich usuwają potrzebę wszelkich wyjaśnień i dopełnień.

Najlepiej i najsłuszniej roztrzyga kwestyę odpowiedzialności prawodawstwo szwajcarskie. Prawo wydane 25 czerwca 1881 r. (Bundesgesetz betreffend die Haftpflicht für Unglücksfälle beim Fabrickbetrieb) jasno i krótko zastrzega: przedsiębiorca odpowiada za wypadki nieszczęśliwe, pochodzące z winy własnej lub jego podwładnych, oraz za wszystkie inne wypadki, jeżeli nie dowiedzie, że przyczyną katastrofy była siła wyższa lub osoby poboczne. Oprócz tego czyni ono właściciela odpowiedzialnym i w takim razie, jeżeli robotnik ulegnie chorobie z przyczyny zajęć swoich w fabryce. Przepis ten ma na celu zmianę warunków sanitarnych w zakładach przemysłowych. Obowiązek dowodzenia, jak widzimy, spoczywa całkowicie na właścicielu. Wynagrodzenie, oprócz kosztów leczenia i pogrzebu, dosięgnąć może 6-letniego zarobku poszkodowanego. Ale jeżeli wina właściciela podlega

---

święcie i przy spokojnem, choć mroźnem powietrzu szeregi spacerujących snuły się tam i napowrót.

Pan Ignacy zaśmiał się głośno i, trąciwszy łokciem idącego obok kolegę, rzekł, wskazując nieznacznie jedne z sanek:

— Patrz. Nana chce brać naiwnych na macierzyństwo. Nie złe bobo wytrzasnęła sobie skądciś.

Odtąd Julka codzień prawie wyjeżdżała lub wychodziła z panną Naną. Po powrocie ze spaceru kazano jej zdejmować ładne sukienki i buciki. Okrywała się napowrót starą chustką, którą miała po matce i siadała w kącie kuchni, patrząc, jak kucharka ustawiała garnki na blasze, zbijała pieczeń lub obracała kurczęta na rożnie.

Na obiad lub wieczorem przychodzili czasem goście. Ubierano ją wtedy w najładniejsze sukienki, wciągano na nóżki najcieńsze pończoszki i wprowadzano do salonu, pośrodku którego wisiał błyszczący żyrandol. Służąca szeptała jej do ucha, aby nazywała pannę Nanę „mamą.“

Goście brali ją na kolana, częstowali winem i cukierkami, bawili się nią czas jakiś, poczem zapominano o niej.

Siadała wtedy w kącie i patrzyła na panie i panów, grających w karty lub słuchała piosenek, śpiewanych przez kilka głosów, a wywołujących ogólny śmiech i wesołość.

Raz zasnęła w swoim kąciku; nad ranem obudziła ją głośna muzyka i krzyki: „wiwat!“ rzucane przez kilkanaście ochrypłych gardeł. Otworzyła oczy i wystraszonym wzrokiem powiodła do koła.

Nie rozumiała nic z tego, co widziała; w rozespanym umyśle pozostało tylko wspomnienie obnażonych ramion i piersi jednej z kobiet, którą panowie podnosili w powietrzu.

Nie wiedziała dokładnie, jakim sposobem znalazła się potem w swojem łóżku w kuchni; wstała jednak nazajutrz z takiem przykrem uczuciem, jak gdyby we śnie popełniła coś bardzo złego. Cały dzień myślała o nieboszczce swej matce, przypominała sobie, jak nieraz wieczorem pomagała jej kręcić kolbę u maszyny, na której szyła bieliznę i suknie dla służących z tego domu.

Robiło jej się ciemno w głowie i pusto w piersiach, jak gdyby nagle miała stracić powietrze, którem dotąd oddychała. Zwiesiwszy głowę na piersi, płakała, sama nie wiedząc, dlaczego. Odtąd ilekroć wyprowadzano ją do gości, serce jej biło gwałtownie, a nogi drżały tak, że o mało nie padła na śliską woskowaną posadzkę. Zresztą wołano ją do salonu. Panna Nana coraz rzadziej brała ją z sobą na spacer. Mijały całe tygodnie, zanim usłyszała głos swej opiekunki lub zobaczyła ją na chwilę w przejściu. Służące powoli zaczęły się nią wyręczać przy robocie w pokoju i w kuchni.

Skończywszy lat czternaście, zajęła miejsce pokojówki, która odeszła od kwartału.

* *

*

Skarżąc się na zimno, panna Nana zadzwoniła raz na nią i kazała jej napalić w piecu.

Drzazgi były wilgotne; ogień rozniecał się z trudnością. Julka klęczała przeszło kwadrans przed piecem, zanim zabłysły pierwsze czerwonawe płomyki, ogarniające drobny miał węglowy.

Przez zasłonięte do połowy ciężkiemi adamaszkowemi firankami okna wciskały się resztki dziennego światła, walczącego z zapadającym zmierzchem. Panna Nana, leżąc na kanapie, rozmawiała z niskim, krępym mężczyzną, którego nazywała poufale Olkiem. Zapytania i odpowiedzi płynęły leniwie, przerywane długiemi pauzami. Panna Nana skarżyła się na ociężałość, jaka ją opanowała od niedawna. Gość wskazał giestem na rosnące z każdym dniem rozmiary jej tuszy, dając do zrozumienia, iż one temu powodem. Nachylając się do niej, szepnął półgłosem:

— Trzeba będzie niedługo zakończyć karyerę...

Jaskrawe promienie rozniecanego ognia oblały profil twarzy Julki, zarysowywując go silnie na tle ciemnej przestrzeni.

odpowiedzialności karnej, wynagrodzenie może przewyższyć to maximum. Nawet w razie bankructwa przedsiębiorcy robotnik nic nie traci, pretensye jego bowiem mają pierwszeństwo i nie wchodzą do masy konkursowej. Jeżeli robotnik był ubezpieczony, to suma wydana jemu lub rodzinie odejmuje się od sumy wynagrodzenia, ale potrzeba dlatego dwóch warunków: żeby fabrykant płacił od siebie przynajmniej połowę składek asekuracyjnych i żeby robotnik ubezpieczony był od wszelkiego rodzaju nieszczęść (a więc i takich, które pochodzą z jego winy) i chorób. Artykuł 10 prawa głosi, że przedsiębiorca nie może ograniczać działania powyższych przepisów za pomocą dobrowolnych umów z robotnikami.

Prawodawstwo szwajcarskie odpowiada wszelkim wymaganiom, jakie teoretycznie uzasadnione zostały. Wymagania te streścić się dadzą w trzech punktach. W każdym wypadku przedsiębiorca uważany być powinien za winnego, o ile nie dowiedzie przeciwnie. Żądanie to bardzo słuszne, wobec bowiem nadzwyczaj zawikłanych urządzeń fabrycznych i nadmiernego podziału pracy, dochodzenie, kto jest winnym, przedstawia niezwyciężone prawie trudności dla robotnika. Zresztą według zdania specyalistów—techników 75—80% wypadków pochodzi bezpośrednio lub ubocznie z winy właściciela (brak dozoru, przyrządów ochraniających, itp.). Drugim warunkiem jest zakaz wszelkich umów dobrowolnych z robotnikami, mających na celu obejście prawa. Projekt, wniesiony do Rady państwa nie wyraża jasno tego niezbędnego przepisu, co może sparaliżować dodatnie działanie ustawy. Niemniej ważnem jest ustanowienie odpowiedzialności właścicieli w razie, jeżeli robotnicy podlegają t. z. chorobom profesyonalnym. W ten tylko sposób można pobudzić właścicieli do większej dbałości o zdrowie klas pracujących. Okropne warunki sanitarne większości fabryk naszych potrzebują koniecznie zmiany, w przeciwnym razie zauważone już niejednokrotnie zwyrodnienie ludności fabrycznej wzrastać będzie, a ograniczenie pracy kobiet i dzieci przyniesie niewielką korzyść.

Jak widzimy, projekt, opracowany przez komitet przemysłowy ministeryum skarbu, stoi na wysokości postępowych prawodawstw Europy. Jeżeli więc nazwaliśmy go w porównaniu z niemi dosyć umiarkowanym, dla tego głównie, że zajmuje stanowisko odrębnie, nie opierając się na podstawie ogólnego prawodawstwa fabrycznego. Bo oto np. słusznie bardzo, jeżeli robotnik nie ma prawa do wynagrodzenia, kiedy wypadek nastąpił z jego winy. Ale znowu jeżeli liczba godzin pracy nie jest określoną i dochodzi w niektórych fabrykach rosyjskich do 18 godzin, czyż „nieostrożność“ lub „niedbalstwo“ nie jest naturalnem?

Już po rozprawach w warszawskiem Towarzystwie zachęty przemysłu i handlu, gazety przyniosły wiadomość, że projekt wskutek przedstawień fabrykantów uległ pewnym zmianom. O ile sądzić można z pobieżnych wzmianek, poprawki te są dosyć ważne. Rozszerzają one granice odpowiedzialności, stosując je do wszelkich przedsiębiorstw przemysłowych (a więc zapewne i do dróg żelaznych, które poprzednio były wyłączone), ale zarazem zawierają pewne ustępstwa dla właścicieli. Przedsiębiorcy bowiem uwolnieni będą od obowiązku wynagrodzenia robotników, jeżeli wykażą, że wypadek spowodowały siły wyższe, co jest słusznem, oraz jeśli dowiodą, że zaprowadzili wszelkie niezbędne środki dla ochrony pracujących. Ocena tego rodzaju dowodów jest bardzo trudną, powiemy nawet niemożliwą dla sądu, chociażby z udziałem biegłych, których zresztą nie zawsze i nie wszędzie znaleźć można. Przepis o wynagrodzenie w razie chorób profesyonalnych zmieniano, o tyle, że nowa redukcya mówi tylko o chorobach nieuleczonych. Wynagrodzenie nie powinno przewyższać trzyletniego zarobku—maximum 3000 rs., kiedy poprzednio było 6. Natomiast pożądanym jest dodatek, że wszelkie umowy prywatne między pracodawcami i robotnikami o wynagrodzenie w razie wypadku uznają się za nieważne, oraz, że właściciel ma prawo sumę przyznaną przez sąd ściągnąć od osoby, która bezpośrednio wywołała nieszczęście.

Ze zmianami temi, czy bez nich, projekt bądź co bądź, odpowiada swemu zadaniu. Nie dziwimy się wcale, iż fabrykanci obawiają się poruszenia tych „drażliwych stosunków“, że oczekują „szkodliwego zamętu“ i chętnie poprzestali by na tem, co im dyktuje „poczucie obowiązku“. Ale prawnicy zrobiliby lepiej, gdyby zamiast zalecenia „jedynie skutecznego środka“ jakim, według nich są przepisy kodeksu Napoleona, zwrócili swą uwagę na szczególne orzeczenia nowego prawa. Włączenie np. doń art. 1384 z odpowiedniemi dopełnieniami byłoby bardzo pożądanem, dla tego, że jasno określa on odpowiedzialność, jak również dla tego, że stosuje ją i do właścicieli warsztatów rzemieślniczych, którzy obecnie żadnej prawie kontroli nie podlegają. Uczeni prawnicy angielscy mogą być właściwym przykładem. Tam lord—sędzia Bramwell otwarcie wygłosił zdanie, że „właściciel dla tego powinien odpowiadać za nieszczęścia, że ma z czego płacić.“ Szczerość taka przeraziła by naszych czcicieli kodeksu.

P.

OTWARCIE SEJMU GALICYJSKIEGO.

Od lat już kilku a może i więcej nawet sesye sejmu galicyjskiego budzą smutne myśli w każdym zdrowo myślącym obywatelu. Brak w nich życia, brak wielkich idej przewodnich, ludzi energicznych i pełnych inicyatywy, brak wreszcie niezbędnego w każdej pracy, jeżeli ma się powieść, zapału i wytrwałości. Spowszedniała już konstytucya, politykę „robi“ Koło polskie w Wiedniu a administracyę prowadzi wydział krajowy. Dodajmy do tego, że „przychylny“ polakom rząd ogranicza czas trwania sesyj sejmowych do *minimum* a rezolucye i ustawy przez sejm uchwalane: albo po prostu rzuca do kosza, albo też załatwienie ich odwleka w nieskończoność.

W tych warunkach sejm z każdym rokiem maleje w swojem znaczeniu i coraz to bardziej zniża się do poziomu, na którym trudno dostrzedz wybitnych znamion, różniących go od jakiegoś urzędu administracyjnego. Uchwali budżet, kilka rezolucyj do rządu, załatwi paczkę próśb, przyzna kilku gminom prawo pobierania myta lub opłat konsumcyjnych—i z zadowolnieniem kończy na tem swe czynności. A tymczasem wielkie prace organizacyjne, rozpoczęte przed laty kilkunastu, napróżno czekają swej kolei a sprawa narodowościowa z każdym dniem staje się bardziej piekącą...

— Niczły nabytek — szepnął Olek, nachylając się po raz drugi do ucha panny Nany.

Julka, klęcząc, jeszcze raz zajrzała do pieca i poprawiła ogień; następnie, wziąwszy jedną ręką pusty koszyk od węgli, a drugą pozostały pęczek drzazg — wyszła z pokoju.

Olek odprowadził ją wzrokiem do samych drzwi, potem zamyślił się chwilę, a w końcu, przeciągając się w fotelu, zawołał:

— Dalibóg, mogłaby dobrze wyżyłować człowieka...

— Ile do stracenia? — zapytała panna Nana, wstając z kanapy i podchodząc do swego gościa.

Olek wyjął z kieszeni gruby żółty pugilares i pokazał go z daleka.

Nazajutrz przyprowadzono z kantoru pokojówkę. Panna Nana wezwała Julkę do siebie i kazała przymierzyć parę dawniejszych swoich sukien, których nie mogła teraz dopiąć na sobie. Z każdym dniem stawała się dla niej lepszą i serdeczniejszą. Nie pozwalała jej pracować; ubierała ją coraz lepiej i wołała do salonu, ilekroć tylko zawitał ktokolwiek z przerzedzającego się szeregu gości.

Któregoś dnia wyszła popołudniu, prosząc Julkę, aby przyjęła pana Aleksandra w razie, gdyby ten ją odwiedził.

Zmierzch zapadał.

W pokoju było prawie zupełnie ciemno. Julka, chodząc wzdłuż i wszerz, myślała o dziwnych zwrotach swej przeszłości. Nie mogła ich zrozumieć przy ciężkim, nieprzenikliwym swoim umyśle, rozwijającym się na równi z organizmem słabo i powolnie. Ogarniała ją trwoga, z której nie umiała zdać sobie sprawy. Zatęskniła nagle do najpierwszych chwil swego dzieciństwa: do zimnej, wilgotnej sutereny, w której mieszkała z matką, do długich wieczorów jesiennych, kiedy skulona siedziała przy piecu, słuchając szybkiego warczenia igły w maszynie.

Zatopiona we wspomnieniach, nie usłyszała dzwonka i posuwistych męzkich kroków, rozlegających się w przedpokoju. Po chwili dopiero spostrzegła we drzwiach postać krępego mężczyzny, który podskoczył ku niej gwałtownym ruchem. Mimowolnie krzyknęła, zbudzona nagle ze swych marzeń.

Przykry dreszcz wstrząsnął całem jej ciałem. Wcisnęła się bezwiednie w fałdy firanek, chwyciwszy podtrzymujące je sznury skurczonymi palcami. Zanim zdołała poznać Olka w nowoprzybyłym, ten objął ją w pół i pocałował namiętnie w szyję. Krzyknęła po raz drugi, lecz szeroka dłoń zakryła jej usta i zatamowała oddech. Jednocześnie uczuła się podniesioną do góry. Instynktowny opór trwał niedługo: siła muskularnych męzkich ramion zwyciężyła.

Julka zemdlała.

Gdy po niejakim czasie przyszła do przytomności, była sama. W pokoju panował zmrok zupełny. Czuła się nadzwyczaj osłabioną. Probowała powstać, nogi odmówiły jej jednak posłuszeństwa: pałająca głowa opadła na poduszkę kanapy; pierś falowała ciężkim, nierównym oddechem; myśli rozpełzły się leniwie w mgliste obrazy; leżała jakby w letargu.

W tym stanie odrętwienia zastała ją Nana, która, powróciwszy nieprędko, do północy przechadzała się po saloniku, podśpiewując zachrypłym kontraltem urywki jakiejś wesołej piosenki i snując wyobraźnią rozległe plany przyszłości.

W kilka dni znowu wyszła na całe popołudnie i znowu Julkę zostawiła samą pod nadzorem służących. Tym razem Olek wrócił do domu z podrapaną twarzą i zakrwawionemi rękami. Walka słabej z silniejszymi zaczęła się powtarzać odtąd nieledwie codzień. Kiedyś Julka probowała uciec. Zarzuciwszy chustkę na głowę, zbiegała szybko ze schodów, nie zdając sobie sprawy, co zrobi potem, gdzie się obróci? W bramie pochwycono ją jednak, a, przyprowadziwszy na górę, pod okiem panny Nany zbito niemiłosiernie.

Podobne sceny zdarzały się jeszcze kilkakrotnie: po każdej z nich plecy i ramiona Julki pełne były siniaków.

W końcu opór jej zaczął słabnąć, aż nareszcie uległa w walce, obojętnie poddając się losowi... (D. n.)

C. Walewska.

Tegoroczny sejm rozpoczął się nadto pod smutnem wrażeniem zastoju ekonomicznego, od dawna niebywałej zniżki cen wszystkich płodów rolnych, co kraj ściśle rolniczy, jak Galicya, odczuł boleśnie, a co grozi mu w przyszłości dotkliwą klęską. Dało to powód do rozpraw na temat oszczędności w gospodarce krajowej a projekty odnośne, poruszane już dawniej, naprowadzały na myśl, że nawet skromna bardzo działalność sejmu na polu ekonomicznem, od lat dopiero niewielu będąca na porządku dziennym, tym razem ulegnie zasadniczemu ograniczeniu. Co prawda, niby w tem nawet nie było dziwnego, gdy zważymy, że sejm galicyjski mieści w swem łonie przeważną większość przedstawicieli jednego tylko zawodu.

Wobec tych danych przyjemne niewątpliwie wrażenie wywołać musi mowa marszałka krajowego dr. Zyblikiewicza, który zagajając sesyę, oświadczył się stanowczo za nieszczędzeniem wydatków na podniesienie produkcyi rolnej i przemysłowej.

Zaznaczywszy naprzód, że już druga z kolei sesya sejmowa zaczyna się pod wrażeniem klęsk przygniatających kraj i że przeszłoroczna powódź mimo milionowych strat, dzięki troskliwej działalności wszystkich ku temu powołanych czynników, przeminęła już na szczęście bez dalszych groźnych następstw a przyrzeczona przez rząd regulacya rzek zapobieże jej ponowieniu się w przyszłości, przeszedł mówca do przesilenia rolniczego, zastoju w przemyśle i handlu.

„Co do tegorocznej klęski — rzekł on — dla zażegnania jej na razie, nasze siły są za małe, a może żadne. Sprawa to mocarstw potężnych, a może nawet w znacznej części Europy wobec innych części świata. Mamy więc możnych i licznych towarzyszy, a choćby nam ta wspólność interesu nie miała przynieść żadnej korzyści, to jednakże położenie nasze o wiele jest znośniejszem, aniżeli każdego kraju na Zachodzie. Raz, że u nas ziemia, i nietylko ziemia, będąca własnością włościan, ale dawniejsza dominialna nie jest tak jeszcze obdłużoną, jak na Zachodzie, a powtóre, że tam produkcya podniesiona do najwyższych szczytów, nie dopuszcza możności dalszego pomnożenia, podczas gdy u nas pod względem wydajności roli i pracy wiele pozostaje do zrobienia, otwarte jest więc pole do pomnożenia produkcyi rolnej i zastąpienia nią tej luki, jaka w gospodarstwie naszem zrządzoną została.

W tym to kierunku sejm nasz bardzo wiele zdziałać może; w tym kierunku ofiarność jego choćby największa za wielką nie będzie; cokolwiek poświęcimy dla rolnictwa, lub dla podniesienia przemysłu, wróci się nam sowicie. Z podniesieniem rolnictwa podniesie się przemysł, z podniesieniem przemysłu uwolnimy się od haraczu, jaki obcym za sprowadzane ich wyroby corocznie składamy. Wiem, że powszechnie domagają się oszczędności. I bardzo słusznie: oszczędności należy przestrzegać najściślej, nawet dla samej zasady administracyi rządnej i prawidłowej. Lecz rozpatrzmy się, jaką ulgę mogłyby przynieść krajowi te drobne oszczędności?

W trzech latach ostatnich, budżetowo wyrachowanych, mianowicie w latach 1881, 1882, 1883 kraj nasz zapłacił 876,000 złr. mniej podatków na potrzeby krajowe i indemnizacyi, aniżeli przed 10 laty, albo nawet w r. 1880. Ulga to więc była rachunkowo bardzo znaczna, bo wynosiła mniej więcej 3% dodatku do podatku krajowego każdego roku. Sądzę wszakże, że się nie pomylę, jeżeli powiem, iż nikt w całym kraju jej nie czuł, a właściwie o niej nic nawet nie wiedział; jednakże gdyby te znaczne sumy użyto na podniesienie rolnictwa i przemysłu, byłoby się to dało bardzo dobroczynnie uczuć niezawodnie w całym kraju. Królestwo Polskie od roku 1815 do 1830 rok rocznie w swoim budżecie wstawiało 800,000 złr. na podniesienie przemysłu. Jeżeli tedy jaką ulgę mielibyśmy przynieść w zniżeniu opłat podatkującym, to czyńmy to na rachunek wydatków nieprodukcyjnych i humanitarnych, bo te rzeczywiście doszły do bardzo znacznych rozmiarów; jednak nie czyńmy oszczędności w wydatkach na produkcyę; bo tu wydatki nie doszły do tej wysokości, jakiej ściśle interesa kraju wymagają. Nie cofajmy się z raz obranej drogi; nie zrażajmy się tem, że skutek powoli objawiać się będzie a nie zrazu. Miejmy w Bogu nadzieję, że po licznym szeregu lat niefortunnych nastąpią lata pomyślne i wtenczas nasze usiłowania pomyślnym skutkiem będą uwieńczone."

Niewątpliwie program powyższy skromny i w ograniczonych mieszczący się ramach a nadto wcale nie wolny od pewnego optymizmu; ale porusza sprawę dla Galicyi niepośledniej wagi. Podźwignięcie ekonomiczne kraju da mu i siłę i znaczenie, ożywi osłabły organizm, pozwoli myśleć o rozwiązaniu wielu jeszcze zagadnień. Są jednak i takie, których odkładać na później bezwzględnie się nie godzi. Jakże boleśnie np. brzmi głos skargi, z jakim wystąpił po zagajeniu sejmu poseł Romańczuk? Mówca żalił się, że ani z ust najwyższego dygnitarza kraju, ani z ust zastępcy rządu nie dało się słyszeć ani jedno rusińskie słowo przy zagajeniu sejmu. „A przecież — według niego — sejm radzi na ruskiej ziemi, a przecież naród rusiński jest drugą główną narodowością kraju, a mowa rusińska w konstytucyjnych ustawach równouprawniona z polską, a przecież w sejmie tym zasiadają i rusini, przedstawiciele ruskiego narodu, a przecież w innych krajach koronnych o mięszanej ludności odbywa się zagajenie sejmów nie tylko przemowami w jednym języku krajowym! W końcu oświadczył p. Romańczuk, że nie chciał tej sprawy od razu podnosić publicznie, ale kiedy prywatna uwaga okazała się daremną, zmuszony był wynieść ją na widok szerszy.

Oby ten głos skargi nie przeszedł bez wrażenia i nauczył krótkowidzących polityków galicyjskich że: sprawiedliwość jest najwyższem prawem.

L.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 28 listopada.

Potrzeba tworzenia stronnictw społeczno-ekonomicznych. — Galicya i ugoda z Węgrami. — Sejmy w niełasce rządu. — Drzemiące życie społeczne. — Kto jeszcze wraz z królem Milanem pobity? — Wieczorki mickiewiczowskie we Wiedniu.

Kiedy podczas ostatnich wyborów do parlamentu jeden z przywódców wiedeńskiego stronnictwa demokratycznego w mowie swej programowej powiedział, że przyczyny ogólnego zastoju ekonomicznego w Austryi szukać należy w waśni narodowościowej, której trzeba położyć kres, pod groźbą zupełnej ruiny materyalnej i pomyśleć o tworzeniu stronnictw politycznych i społecznych bez względu na narodowość — wówczas partye polityczne, a przedewszystkiem niemieccy centraliści przyjęli słowa te z szyderczym uśmiechem. I rzeczywiście, kto ocenia powierzchownie istniejące w Austryi stosunki i nie posiada nadto zmysłu do rozwiązywania zagadnień ogólno polskich, które w kwestyi chleba, w kwestyi wyzysku pracy, w kwestyi gospodarczego racyonalizmu, muszą z natury rzeczy przekraczać ciasne granice narodowościowe — ten poczyta zdanie powyższe nawet za bluźnierstwo szkodliwe. Jednakże kto patrzy trzeźwo, kto zresztą na stanowisku narodowem stoi mocno, nie może mieć zamkniętych oczu na prawdę już dawno w innych cywilizowanych społeczeństwach uznaną. Polityczny ustrój Austryi, gdzie pojedyncze narody i kraje mechanicznie są spojone w jedną całość, gdzie one w równej mierze muszą ponosić ofiary dla państwa i w równej mierze korzystają w politycznym, ekonomicznym i społecznym kierunku z ochrony, jaką im ono daje, ustrój ten wskazuje wyraźnie na wspólność pewnych społecznych i gospodarczych interesów pomimo różnic etnologicznych. Wytłomaczymy się jaśniej — przykładem szkoła wyznaniowa — prawodawstwo w Austryi jest dla wszystkich krajów jednakowe — nie może być pożądaną ani dla postępowego polaka ani też dla postępowego niemca lub włocha; a jak istnieje wspólność interesu pomiędzy wyznawcami zasady wolnego handlu, bez względu na ich narodowość, tak również wspólną jest dążność tych polskich, niemieckich lub włoskich postępowców, którzy domagają się sprawiedliwego rozkładu podatków, albo tych, którzy są zwolennikami upaństwowienia dróg żelaznych, instytucyj ubezpieczeń itp. W każdej dziedzinie prawodawstwa i administracyi znajdują się takie międzynarodowe punkty styczne, taka wspólność interesów, która znikałaby dopiero wtedy, gdyby dzisiejszy ustrój państwa, skupiający władzę wykonawczą i ustawodawczą we Wiedniu, zmienił się na federacyjny, kraje odrębne nie musiałyby podlegać jednakowym ustawom, posiadając w każdym kierunku swój własny samorząd. A przecież i wówczas znalazłyby się jeszcze potrzeby ogólno-państwowe, dotyczące formy rządu, armii, polityki zagranicznej i handlowo-celnej, jak to obecnie zachodzi w stosunku Węgier do Austryi.

W parlamencie austryackim widzimy istotnie tę potworność, że wszelka wspólność interesów w dziedzinie politycznej, ekonomicznej i społecznej rozpryskuje się na atomy narodowościowe, że zwolennik wolnej szkoły głosuje za jej wyznaniowością, zaś wolno-handlowiec popiera system ochronny a tak zwany „państwowy socyalista" kruszy kopie w obronie przywilejów handlowych lub kolejowych. Cierpi na tem głównie Galicya, czego najwymowniej dowodzi jej coraz większy upadek materyalny. Od „nowelli szkolnej" uwolniła się tylko za pomocą wyłączenia, któro wszakże moralnie nie mało jej przyniosło szkody. Koło polskie bowiem głosowało za ważnością tej nowelli dla innych krajów, podczas kiedy dla siebie jej nie chciało. Tak samo system handlowo-celny rządu i prawicy sprzeciwia się jak najbardziej interesom galicyjskim. Cła ochronne dla przywozu wyrobów zagranicznego przemysłu są zabójcze dla przeważnie rolniczej Galicyi, będącej konsumentką obcego przemysłu; tak samo zgubne są dla jej wywozu surowych płodów, szczególnie zboża i drzewa, ciężkie opłaty celne ze strony Niemiec i innych państw ościennych, jak świadczą bajecznie niskie, od lat wielu niepamiętane ceny zboża, w Galicyi i całej Austryi. Związek oparty na nienaturalnej podstawie różnych interesów, bądź to politycznych, społecznych lub ekonomicznych, podjęty dla rzekomych korzyści narodowych, musi koniecznie mieć podobnie smutne następstwa, podniesione przez nas wyżej tylko w małej części, a dlatego sądzimy, że słowa wiedeńskiego demokraty nie zasługują bynajmniej na szyderstwo, lecz owszem powinny jak najprędzej znaleźć uwzględnienie, i wykonanie o tyle przynajmniej, żeby pomyślano w parlamencie poważnie o wytworzeniu stronnictw społeczno-ekonomicznych bez względu na narodowość. Nie zagrażałoby to wcale dotychczasowej organizacyi klubów, gdyż kluby i takie stronnictwa mogą bardzo dobrze istnieć obok siebie, tylko grupy narodowe pozostawiłyby swoim członkom swobodę w sprawach ekonomicznych, jak dotychczas w wyznaniowych.

Poruszyliśmy powyższą kwestyę głównie dlatego, że grozi nam odnowienie ugody z Węgrami, przyczem właśnie zasada wolnego handlu zmierzyć musi swe siły z systemem protekcyjnym a interes Galicyi każe jej przedstawicielom parlamentarnym szukać sprzymierzeńców nie w obozie niemieckich klerykałów i konserwatystów, hołdujących reakcyi ekonomicznej, ale śród prawdziwie liberalnych i postępowych niemców, przeciwników protekcyjnego systemu ceł.

Ugoda węgierska stanowi też wogóle najważniejszy punkt porządku dziennego; to też pomimo obradujących obecnie piętnastu sejmów krajowych, opinia publiczna zajmuje się nią prawie wyłącznie. Sejmy te bardzo mało ją obchodzą. W nowej erze „autonomicznej" przestały one już dawno—jak się wyraża naiwnie jeden z urzędowców—tworzyć osobne parlamenty, co jest zupełnie zgodne z prawdą, ale nie mniej przeto dowodzi, że ta nowa era dla ironii chyba nosi swą nazwę. Obecny rząd zniżył bardzo zakres działania sejmów krajowych i wogóle ich znaczenie. Obrady trwają w roku nie dłużej, jak kilka tygodni, a w minionem sześcioleciu był nawet jeden rok taki, w którym rząd sejmu wcale nie zwołał.

Pod wpływem niepewności położenia politycznego cierpi nie mało życie społeczne, dla tego też i cały ruch w Wiedniu nie może się rozwinąć tak, jak to bywało dawniej o tej porze. Wprawdzie teatry, które były zupełnie zamknięte przez lato, rozpoczęły od dłuższego już czasu swoje widowiska, a nie brak także i najrozmaitszych koncertów; ale wszystko to obraca się w ramach zwyczajności i niczem nie podnosi i nie charakteryzuje „sezonu." Publiczność skwapliwiej czyta dzienniki, rozogniona sprawą wschodnią, aniżeli garnie się na widowiska. Miejscowe dzienniki przepełnione są telegramami z Belgradu, Niszu, Pirotu i Widynia, rzadziej zaś doniesieniami z Sofii, które za to brzmią krótko i lakonicznie: Serbowie pobici cofnęli się! Bitą tu jest ciągle także i polityka hr. Kalnokego, co zresztą wiadomo całemu światu. Jest ona też tak samo jak armia serbska w zupełnym odwrocie, a czy zdoła szczęśliwiej bronić swojego stanowiska, niż król Milan Pirotu, okaże to bliska przyszłość. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że austryacki minister spraw zagranicznych znajduje się w okropnie przykrem i trudnem położeniu. Być przeto może, że jemu zachwieje się grunt pod nogami tak samo, jak się chwieje tron pod Milanem. Wart pałac Paca, a Pac pałaca. Mimo to nie przestaje rząd austryacki nadawać swoim sympatyom dla Serbii dobitnego wyrazu, chociaż nie zawsze w sposób odpowiedni. Niedawno mieliśmy nawet komiczny tego przykład. Na skinienie z góry zajmowała się wiedeńska władza cenzuralna w osobliwy sposób królem serbskim. Rzecz się tak miała: Istnieje w Wiedniu towarzystwo wesołych birbantów, które corocznie w karnawale wyprawia głośny i oryginalny *Lumpen*—bal na cel dobroczynny, a które i w poza karnawałowych czasach rozwija pewną humanitarną czynność, jaką *Neulerchenfelder Lumpenball-Comité*. Towarzystwo to wydało kolorowany ścienny kalendarz, zdobny w figury wiedeńskich łobuzów rozmaitego rodzaju—właśnie w chwili, kiedy król Milan zaczął się cofać z swoją armią z Bułgaryi. W środku kartonu znajduje się jako wcielenie ubiegłego roku wizerunek znanego w Wiedniu dorożkarza zwanego *Franz*, w łachmanach włóczęgi. Kiedy egzemplarz kalendarza poszedł do cenzury, prokurator państwa znalazł w rysach fiakra oblicze — króla Milana. Zarządził więc konfiskatę całego nakładu, a Lumpenball-Comité musiał aż z fotografią dorożkarza stawać przed sądem, ażeby dowieść, że jeżeli zachodzi podobieństwo pomiędzy postacią kalendarza, a królem, w tem nie leży bynajmniej chęć *wydrzeźniania*, ale tylko dziwna gra przyrody. Pan prokurator państwa musiał więc cofnąć się, jak jego królewska mość, z pod Śliwnicy.

Tutejsze stowarzyszenie polskich akademików „Ognisko" urządza jutro w sali Bosendorfera wieczór mickiewiczowski, który prawdopodobnie ściągnie liczną polską publiczność miejscową. Drugie stowarzyszenie „Zgoda," składające się przeważnie z robotników, dajo taki sam wieczór 12 grudnia w sali „Hotel Zillinger." Wieczorki mickiewiczowskie używają w Wiedniu wielkiej popularności i są bardzo uczęszczane. Zarządy stowarzyszeń powinny starać się tylko o większe urozmaicenie programu, do czego znajduje się w miejscu dosyć sił artystycznych.

S.

JESZCZE JEDEN!

Berlin, 1 grudnia.

Szanowny Redaktorze! Zapytujesz mnie pan, czy znam pracę o Henryku Heinem Teodora Jeske-Choińskiego. Tak, znam ją. Jeszcze kiedy podczas lata bawiłem w Warszawie, ilekroć przechadzałem się po ulicach, wpadała mi w oczy fatalna czerwoność okładki. Kupiłem więc sobie tę broszurę — z lękliwem przeczuciem. Bo po wszystkiem, co autor ten dotąd napisał a co mi jest znanem, zaledwie mogłem się spodziewać zupełnie wiernego wizerunku „niegrzecznego ulubieńca gracyj." Przeczucia moje wszelako mię zawiodły; oczekiwałem bowiem niezupełnie wiernego wizerunku, ale tak fałszywego, niepodobnego, wykrzywionego portretu, przyznaję to, nigdy a nigdym się nie spodziewał.

Mało jest poetów w całej literaturze powszechnej, którzyby cieszyli się tak sprzecznem traktowaniem, jak Henryk Heine. „Jedni swą miłością, inni swą nienawiścią" srodze dali mu się we znaki i równie za życia jak po śmierci napadali go z fanatyzmem. Długi szereg krytyków przewija się przede mną, gdy wiersze te kreślę, krytyków, którzy stoją na czele, przywodzą bojowemu pochodowi przeciwko Heinemu. Otwiera go ciężka kawalerya wielkich i uczonych historyków literatury; za nią postępuje pobożna gwardya niebiańska kaznodziejów i księży wszelkich wyznań. Tylną straż tworzy szereg zachowawczych literatów i dziennikarzów, których typem jest dla mnie pan Jeske-Choiński. Do nich to stosują się popularne wyrazy: „chcieliby bardzo, lecz nie mogą!" Potajemnie, w niezepsutym kąciku ich obserwowanego serca, podoba im się Heine bardzo, co więcej, nauczyli się nawet czegoś od niego. Można nawet dowieść, że on wpłynął na ich sposób atakowania, na ich styl. Jawnie wszelako na martwego lwa, który nie może się już bronić, napadają oni złośliwie i obrzucają podejrzeniami.

Co do p. Jeskego w szczególności muszę wyznać, że cała jego robota wywarła na mnie wrażenie owego znanego opowiadania z Biblii, podług której wieszcz pogański, Bileam, powołany był do przeklinania, zmuszony wszakże został do błogosławienia. Widzimy oczywiście, jak on się kręci i wierci, ażeby Heinego poniżyć w opinii publicznej. Oto nagle, zupełnie jak Bileam—gdy sądzimy, że otworzy swe usta do wielkiej klątwy, rozpływa się w najpoetyczniejszych błogosławieństwach i jaknajbardziej namaszczonych pochwałach. Niewątpliwie takie postępowanie Bileama ma za podstawę głębszą dążność etyczną, której dowieść Panu mogą uczeni egzegeci. P. Jeskemu za to, który nie jest poganinem, ale, niestety, także nie jest wieszczem, przytrafia się to małe nieszczęście, że w drugiej części swego kazania błogosławi to, co przeklinał w pierwszej.

Przytoczę jeden tylko przykład. Naprzód sili on się odmalować nam zaniedbanie formy zarówno w prozie jak poezyi Heinego. Jakżeż musimy się zdziwić, gdy widzimy go dochodzącego do wniosku, że Heine był największym mistrzem formy. Tak zagadkową sprzeczność mogę sobie tylko wyjaśnić małym, maluczkim wierszem końcowym. Brzmi on: „Warszawa, marzec i kwiecień 1884." Mogę jedynie przypuścić, iż w marcu pisał klątwy, w kwietniu—błogosławieństwa.

Ale to są żarty, pan zaś, surowy Redaktorze, żądasz ode mnie poważnej krytyki. A więc zapytuję, czy można zachować powagę wobec podobnych poglądów? Wierzaj mi Pan, od lat szesnastu bez przerwy zajmuję się Henrykiem Heine. W całej literaturze powszechnej niema chyba jednego, poświęconego mu pisma, którego bym nie znał dokładnie; najważniejsze z nich starałem się nawet zbić — mogę wszakże Pana zapewnić, że wszystkie one podobne są do siebie jak dwie krople wody, co więcej, że na robotę p. Jeskego najzupełniej temi samemi można odpowiedzieć słowami, co na napaść Wolfganga Menzla zpred lat pięćdziesięciu. Ani jednego nowego argumentu, ani jednego nowego poglądu, ani jednego rzeczywiście silnie opartego wywodu. I dla tego to sąd mój wydaję w nagłówku niniejszego listu: *Jeszcze jeden!* Jeszcze jeden z tych, którzy przyłączają się do wielkiego bojowego pochodu przeciwko Heinemu, jeszcze jeden z tych, którzy daremnie usiłują zedrzeć wieszczowi wieniec nieśmiertelności z jego głowy, jeszcze jeden z tych, którzy swemi skrzydłami wiatrakowemi chcą zwyciężyć poetę, jeszcze jeden z tych, których oddawna nikt nie słucha, którzy wszakże tem gwałtowniej wrzeszczą, krótko mówiąc: jeszcze jeden—ale nic więcej, bezwzględnie—nic więcej!

Może się Pan nie zgodzisz z tem, Szanowny Redaktorze? Przypuszczasz, że ten lub ów rys przynajmniej w tym wizerunku literackim musi być wiernym lub oryginalnym. Przywykłeś pan zapewne czytać przeważnie oryginalności pana Jeskego—żałuję, ale powyższego sądu mego cofnąć nie mogę.

To, co mówi on o wpływie żydowstwa na Henryka Heinego, możesz Pan odczytać w daleko dowcipniejszem opracowaniu u Juliana Schmidta, którego zresztą p. Jeske zna wybornie. Tylko zarówno przewodnik jak wtórujący mu zapomnieli równomiernie rozdzielić światło i cienie oraz uwydatnić doniosłe wpływy jego żydowskiego pochodzenia na twórczość. Tylko uśmiech — nic więcej — może wywołać uczona wycieczka z powodu Talmudu. Zresztą musiała ona być pisaną w marcu, albowiem p. Jeske umie nam bardzo wiele opowiedzieć o obu wielkich potęgach, rządzących życiem żydów: o talmudzie i handlu, które na życie i twórczość Heinego nieszczęśliwie oddziałać miały, podczas gdy—zapewne znowu w kwietniu—brak mu słów potępienia dla jego marnotrawstwa, lekkomyślności bez troski. Już to chyba nie są właściwości handlarza!

A więc nic nie jest warta uczoność pana Jeskego na polu historyi i literatury żydowskiej. To, co on na str. 15 mówi o malcńkiej kupce inteligencyi żydowskiej w przeciwstawieniu do powszechnej, europejskiej w wiekach średnich, te dziesięć wierszy starczyłyby do gruntownego obcięcia go na egzaminie z tej gałęzi wiedzy.

Że Heine połączył ciętość rabinów z ironią romantyków — jest to bardzo piękny frazes, który niezmiernie musi imponować wszystkim, nie wiedzącym nic o rabinach

i nie wiele o romantykach. Gotów jestem, najzupełniej z tem samem prawdopodobieństwem dowieść tezy, że Heine połączył talmudyczną ironię z ciętością romantyków.

Że Heine nie był patryotą, dowiedział się p. Jeske od niemieckich antisemitów. Przeciwstawiam temu twierdzeniu wprost inne, mianowicie, że kochał swą ojczyznę bardziej niż wszyscy ci szczekacze, którzy patryotyzm jego podają w podejrzenie. Wogóle dziwnego to są gatunku takie twierdzenia. Wyrwawszy jakieś zdanie z całości, można o każdym pisarzu dowieść, czego się chce. Wszystkim tym, które pan Jeske stawia przeciwko patryotyzmowi Heinego, gotów jestem niezwłocznie przeciwstawić inne, tchnące najgorętszym patryotyzmem. Co więcej nawet, podejmuję się dowieść, że wszystkie przez p. Jeskego przytoczone zdania *contra*, dyktował Heinemu najżarliwszy patryotyzm, najgłębsza miłość ojczyzny.

To samo spotykamy w całej książce. Musiałbym chyba przytaczać tu zdanie po zdaniu, aby zbijać każde po kolei. Ale to—otwarcie wyznając—nie warte trudu. Gdyby p. Jeske był pierwszym, gdyby chociaż był jednym z najoryginalniejszych, gdyby przynajmniej był się zdobył na *jedyny nowy argument* przeciwko Heinemu, *jedno uzasadnione oskarżenie*, którego już dawno przed nim nie podniosło stu i stu go nie zbijało, wówczas opłacałoby się zapewne bliżej rzecz jego rozpatrzeć.

„Tak, ale dlaczego uznałeś Pan za godne fatygi wystosować do mnie list o tym wizerunku?“ zawołasz zapewne, Szanowny Redaktorze i niezawodnie wielu z twoich czytelników! Zaraz na to odpowiem: z dwu przyczyn uznałem za potrzebne i użyteczne zabrać głos ostrzegawczy przeciwko robocie p. Jeske-Choińskiego.

Pierwszą z tych przyczyn jest przedziwny literacko-historyczny sposób, z jakim p. Jeske wciąga do rozprawy *życie prywatne* Heinego. Powyżej rzekłem, iż nie jest on bynajmniej oryginalnym — proszę wszakże najuprzejmiej o wybaczenie — bo wysoce oryginalnym jest właśnie ów sposób—oryginalnym, ale równie niebezpiecznym i niezasługującym na utrwalenie. Gdybyśmy chcieli życie prywatne poetów wprowadzać w tak ścisły związek z ich duchową twórczością, cóż byśmy natenczas mieli począć z Goethem, Byronem, Puszkinem i innymi? Przed areopagiem krytyki mogliby się tylko ostać ci poeci, którzy żyli przed trzystu lub czterystu laty i o których życiu tak mało wiemy, że ich nie możemy poddać anatomicznej sekcyi. Byłaby to zupełnie nowa szkoła krytyczna, którąby założył pan Jeske. Pierwsze w niej miejsce zajęliby poeci, którzyby złożyli najlepsze świadectwo o swych obyczajach, którymby magistrat ich rodzinnego miasta potwierdził, że zawsze żyli moralnie i cnotliwie, że się nigdy nie upijali, nigdy nie narażali policyi, żadnej niedzieli nie omijali kościoła i nigdy nie uwiedli żadnej kobiety. Byliby to ci poeci, o których śpiewał Heine:

> Andere Dichter, haben Geist
> Andere Phantasie und andere
> Leidenschaft, jedoch die Tugend
> Haben wir, die Schwabendichter *).

Krytycznym nadzorcą tej nowej szkoły poetów byłby nowoczesny Atta Troll, obyczajowo-religijny „niedźwiedź tendencyjny,“ któryby klasyfikował wieszczów podług ich obyczajowej cenzury.

Jednak i to tylko żarty. Sprawa ta ma wszelako rozpaczliwie poważne tło. Skąd—na litość — ma p. Jeske te dokładne wiadomości o życiu i czynach Henryka Heinego? Kto go poinformował o tem, że Heine był pustakiem, birbantem itp.? Ze źródeł, które cytuje, wiadomości tych w żaden sposób zaczerpnąć nie mógł — mój biedny przyjaciel, Adolf Strodtmann w grobie by się jeszcze przewrócił, gdyby to przeczytał—ze źródeł zaś, z których korzysta, ale *nie cytuje*, tem mniej mógł się o tem dowiedzieć, w nich bowiem znalazłby i odczytał informacye wręcz przeciwne. A więc skąd pochodzi ta dokładna wiadomość, na której on opiera cały swój potępiający wyrok? Może p. J. posiada źródła prywatne? Bardzobyśmy mu byli wdzięczni, gdyby je nam uprzystępnił. Dopóki wszelako tego nie uczyni, musimy twierdzenie jego, jako *zupełnie nieuzasadnione i nieuprawnione*, odrzucić stanowczo.

O sympatye i antypatye sprzeczać się nie można. Pan Jeske twierdzi, jakoby Heine dla niego i jemu podobnych nie był sympatycznym. Jakkolwiek jest to pochlebnem dla poety, jest też i jednostronnem. Są tysiące ludzi, dla których Heine wielce pozostaje sympatycznym, którzy z nim najserdeczniej spółczuli w materacowym jego grobie, w którym latami całemi, zwolna zamierając, najcudowniejsze poetyczne twory, najgłębsze obrazy humoru stwarzał w najstraszliwszych męczarniach. Zmarły Karol Hillebrand, który od stóp do głowy był gentlemanem, jednym z najgłośniejszych charakterów, a także jednym z najbardziej utalentowanych pisarzów, nie mógł nigdy bez łez mówić o Heinem, ilekroć wypadało mu opowiadać o tym okresie jego życia — a filozof Imanuel Fichte, który w powadze i obyczajowości z każdym Atta Trollem mógłby iść w parze, oświadczył, iż męczeństwo Heinego w jego materacowym grobie wywierało iście bohaterskie i prawdziwie filozoficzne wrażenie. Co sądzi p. Jeske o obu tych, niewątpliwie niepodejrzanych świadkach?

A oto drugi powód, który mię skłonił do obdarzenia waszej *Prawdy* tym listem. P. Jeske najwidoczniej usiłuje poniżyć zwłaszcza Heinego w Polsce i wobec Polski. Zręcznie tu i owdzie wplątał jakieś twarde słówko Heinego o polakach, o Janie Sobieskim itd. Wie on, że to—łącznie z resztą—nie omieszka wywrzeć swego wpływu. W tym to punkcie staje się p. Jeske niebezpiecznym.

Wiem, niestety, aż nadto dobrze, że z wieloma jeszcze przesądami właśnie w Polsce musi walczyć Heine. Dla tego też energicznie należy odbijać napaści, które poetycki jego talent z faryzejską słodyczą wynoszą pod niebiosa, charakter zaś jego i życie strącają w piekło! Niebo wszakże i piekło w sprawach poetycznych nie mają wcale głosu! Heine był człowiekiem, jak my wszyscy, z wadami i przymiotami, z namiętnościami i cnotami, niegorszym niż „niedźwiedzie tendencyi,“ które się na niego rzucają, dobrym i gotowym do usług człowiekiem. Serce swe, że tak powiem, miał na języku i dobrego pomysłu, silnego dowcipu za nic w świecie nie umiał stłumić. Twierdzę, że *Heine bardzo kochał polaków*. A jeśli drwi z nich w znanym owym wierszu, to dla znających go jest właśnie dowodem tej miłości, której dał żywy wyraz w „Pamiętniku o Polsce,“ w sympatyą ożywionych ustępach „Lutecyi“ i innych swych utworach. Wszystkim nam wiadomo, ilu Krapulińskich i Waszlapskich krążyło śród paryskich emigrantów i wywoływało drwiny, każdy z nas zna jego Sznabelowopskiego, który go tak często a często rozśmieszał—i chcecie wieszczowi, dla którego satyra i ironia była warunkiem życia, jak dla ptaka świegotanie, prawa tego chcecie wzbronić?

Ścisła przyjaźń, która wiązała Heinego z wybitnymi polskimi mężami stanu i poetami, zapał, z jakim mówi o kobietach polskich, które mieni „aniołami ziemi,“ podczas gdy aniołów za „polki nieba“ uważa, sprawiedliwość, z jaką wydaje sąd o stosunkach polskich, sympatya, z którą się zwraca do dziejów i losów Polski—wszystko to winnoby zabezpieczyć go od podobnych ze strony polaków napaści.

P. Jeske nie zdaje się być tego zdania. Smutne to, ale musimy się pocieszyć. Tego tylko możemy nawet od niego jako przeciwnika poety żądać, aby nie obrzucał grobu wieszcza zgniłemi jabłkami, któremi inni oddawna już pogardzili, aby do sporów o jego wartość estetyczną nie wciągał jego życia prywatnego, i aby wyrwanymi z całości ustępami i niedowiedzionemi twierdzeniami nie wyrokował o pisarzu, który już się sam bronić nie może.

Możemy się tego domagać tem bardziej i tem natarczywiej, że p. Jeske chce, aby o jego pracy stanowczo wydano sąd—jako o *książce szkolnej, o pracy dla młodzieży*. Dziwisz się Redaktorze! Nie mogę jednak nic na to poradzić. I ja się zdziwiłem; ale niestety, zrobiłem to odkrycie dopiero wtedy, gdym prawie już do końca doczytał czerwoną tę książczynę. Albowiem dopiero na str. 127, rozpoczynają się moralne nauki, przeznaczone chyba dla dojrzalszej młodzieży płci obojga: „nie żyj tak, jak Heine, aby ci tak nie poszło, jak jemu... I nie działaj tak, jak Heine, abyś nie doznał jego zawodów... nie plwaj na innych, gdy sam nie jesteś bez winy“ itd.

W moralizującym tym tonie ciągnie się rzecz dalej. Teraz dopiero pojmuję tendencyę tego piśmidła. „Heinego życie i twórczość, opracowane dla młodzieży“—tak miał brzmieć tytuł, taki był cel. Z tej to przyczyny musiał być Heine tak czarno, jak się tylko dało, odmalowanym, tak odstraszająco i niesympatycznie przedstawionym. Ale p. Jeske niedokładnie wypełnił swe założenie. Mógł on był jeszcze liczne moralne dołączyć nauki, któreby mu zapewniły powodzenie osobnego rodzaju publiczności. Albowiem tylko o dzieciach—nikt mi tego nie wyperswaduje—mógł on był myśleć, gdy pracę swoją kreślił, nie zaś o poważnych ludziach, o wykształconych kobietach, o tych wszystkich, którzy przywykli sądzić pisarzów podług wartości ich tworów a nie podług mętnych źródeł, przepływających przez ich życie prywatne, o tych wszystkich, którzy bardzo dobrze wiedzą, że Heine był i jest jednym z najpierwszych spółczesnych poetów—głębią swej wrażliwości, jasnością i powabem, wdziękiem i serdecznością swych poezyj, że był on i pozostanie jednym z najświetniejszych pisarzy, jednym z nielicznych przedstawicieli samowładnego w literaturze świata humoru, człowiekiem, którego wpływ sięgnął do literatury niemieckiej i francuskiej zarówno jak do polskiej, i którego wielkości żaden z jego przeciwników—nawet p. Jeske-Choiński, a to przecież coś znaczy—nie może ani zmniejszyć, ani uszczuplić.

Żegnam cię, szanowny Redaktorze. Broń w twej pięknej ojczyźnie pamięci drogiego wieszcza przeciwko potwarzom wszelkiego rodzaju, z powodu których sam on jeszcze wołał: „Kłamiesz Brutusie, kłamiesz Kasyuszu i ty także kłamiesz, Asiniuszu, gdy twierdzicie, iż szyderstwa moje dotyczyły owych idej, które są cenną zdobyczą ludzkości i za które ja sam tak wiele walczyłem i cierpiałem. Nie, właśnie dla tego, że wieszczowi owe idee przyświecają stale w najcudowniejszej jasności i wielkości, tem bardziej nieodparcie opanowywa go chętka do śmiania się, gdy widzi, w jak surowy, ordynarny i niezgrabny sposób ograniczona spółczesność ideje te pojmuje. Szydzi on również z ich doczesnej skóry niedźwiedziej. Są zwierciadła, które tak źle odszlifowano, że nawet Apollo jako karykatura w nich odbijać się musi i pobudza was do śmiechu. Śmiejmy się

*) Jedni poeci mają dowcip, drudzy fantazyę a inni namiętność, wszakże cnotę posiadamy my, szwabscy wieszcze.

wówczas, ale tylko z karykatury, nie z boga...“

Gustaw Karpeles.

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

VIII.

(Dokończenie).

Obok politycznego wyzwolenia bułgarów z pod przemocy tureckiej na szczególną uwagę zasługuje kościelne i duchowe z pod przewagi helenizmu.

Po tureckim najeździe kościół bułgarski, posiadający dotąd własną autonomię, utracił swą niezawisłość na rzecz greckiego patryarchatu w Konstantynopolu. Był to podwójny podbój — turecki i grecki.

Wiadomo powszechnie, jakich zdzierstw i nadużyć dopuszczał się Fanar. Porta sprzedawała najwyższy pontyfikat w kościele wschodnim najwięcej dającemu, ten zaś z lichwą odbijał sobie wydany pieniądz na swojej owczarni; patryarcha sprzedawał biskupstwa, biskupi zaś probostwa. Wszyscy biskupi w Bułgaryi zostali wkrótce fanaryotami, pogardzającymi jej językiem i narodem i dążącymi nawet świadomie do helenizacyi. Gdy następnie rząd turecki zobowiązał gminy do zakładania szkół, pozostawiając im zresztą w ich urządzeniu zupełną swobodę — biskupi greccy opierali się temu. „Szkoły — mówił wówczas arcybiskup Niszu — robią tylko odszczepieńców, lepiej budować kościoły.“ Metropolita tyrnowski w początku już tego wieku spalił całą bibliotekę byłych patryarchów bułgarskich, którą odnaleziono przypadkiem w kościele katedralnym.

Dopiero biskup Sofroniusz w pierwszych latach obecnego stulecia zaczął używać języka bułgarskiego. Jest on jednym z pierwszych działaczy bułgarskiego odrodzenia. W jego ślady poszli następnie Bernowicz, Rakowski, Lubin, Karawełow i inni.

W r. 1835 otworzono pierwszą szkołę, w której uczono po bułgarsku; szkoły te mnożyć się zaczęły po wojnie krymskiej, zawdzięczając swój początek gminom i patryotycznym usiłowaniom. Żądano wtedy na posady biskupie wyłącznie bułgarów; prośbie tej odmówiono, co wywołało silną opozycyę; przyszło nawet do zaburzeń i wypędzania biskupów fanaryockich. Rząd turecki, powodując się zasadą: *divide et impera*, wspierał w tym sporze bułgarów, widząc w nich przeciwwagę budzącego się także helenizmu. Widział on zresztą w grekach swych domniemanych następców na półwyspie bałkańskim.

Zatarg bułgarów z Fanarem trwał lat piętnaście. Rozwinęli oni w nim wielką wytrwałość i zręczność dyplomatyczną. W walce tej bułgarzy chwilowo przechylili się nawet do unii z Rzymem. W roku nareszcie 1872 sułtan osobnym firmanem przyznał zupełną niezawisłość ich kościołowi narodowemu pod nazwą bułgarskiego egzarchatu. Egzarcha mieszkający w Konstantynopolu i mianowany przez sułtana, jest głową wszystkich dyecezyj z ludnością bułgarską. Dyecezye wilajetu adranopolskiego i Macedonii mają prawo przyłączać się do kościoła bułgarskiego; dwie dyecezye, Kepruli i Orchida przyłączyły się niedawno, pozostaje jednak dziewięć po za granicami Bułgaryi i Rumelii, w których większość jest bułgarską, a które mimo to należą jeszcze do Fanaru. Przy urządzanych w tym celu spisach ludności po parafiach grecy przedstawiają kościół bułgarski jako szyzmatycki, tj. taki, który się oddzielił od prawowiernego greckiego i tem powstrzymują ciemnych bułgarów od zjednoczenia. Turcy zmienili dziś politykę i popierają raczej greków przeciwko bułgarom. Tak np. sułtan mianował niedawno dwóch biskupów bułgarskich w Macedonii, pod naciskiem jednak greków, rozporządzających w Konstantynopolu potężnymi wpływami i kapitałami, dotąd nie nadesłał im inwestytury. Grecy usiłują dziś zhelenizować jaknajrychlej Macedonię i w środkach nie przebierają. Połączywszy się z turkami, chcieli by oni wytępić pierwiastek bułgarski w tej prowincyi, lubo stanowi on tam dwie trzecie zaludnienia.

Kler bułgarski — mówi Laveleye — nie ma wpływu na naród i mało się zajmuje polityką. Poziom jego wykształcenia jest wogóle nie wysoki; duchowieństwo biedne i ludność, podobnie jak w Serbii, nie zbyt nabożna.

Sofia, zwana za czasów rzymskich *Serdica*, była wówczas miastem ludnem i znaczącem. Konstantyn przed ostatecznem usadowieniem się w Bizancyum mawiał, że Rzym jego — to Serdica. Na południe od Sofii dzisiejszej widać jeszcze ślady dawnych murów. Dziś jest to miasto liczące 20.000 głów. Stara dzielnica zachowała wygląd turecki: wąskie uliczki i domy drewniane. Do dawnych zabytków należy wspaniały meczet i łaźnie o wielkich zbiornikach z białego marmuru. Po ostatnich wypadkach 5,000 turków opuściło Sofię; na miejscu ich siedzib stanęła nowa europejska dzielnica we wschodniej części miasta. Tu też mieści się wspaniały pałac książęcy, który kosztował 4 miliony fr., nieopodal zaś wielki hotel, urządzony na wzór wiedeński; dalej pałace konsulów Anglii, Rosyi, Austryi, Włoch, Niemiec. Nowe białe budynki — to ministerstwa bułgarskie, szkoła wojskowa, kasyno oficerskie i wille prywatne.

Nieznam — powiada Laveleye — miasta tak nieszczęśliwie położonego, jak Sofia. Ze wszystkich stron rozciąga się ogromna pusta płaszczyzna, od południa tylko wznosi się wielka granitowa góra Witosz, 2,330 metrów wysokości. Nigdzie drzew, ani cienia; tuż za miastem rozpoczyna się step bez końca. Równina, dziesięć razy tak wielka jak rzymska „kampania,“ jest pusta i nastraja melancholijnie. W zagłębieniach tylko gruntu rozrzucone są rzadko chaty plemienia „szopów;“ mają oni być szczątkami dawnych pieczeniegów, których bizantyjczycy osadzili tu w wieku XI. Na płaskowzgórzu tem, wyniesionem 545 metrów nad poziom morza, klimat jest ostry. Zimą wiatr chłodny przenika do kości, latem można być usmażonym na słońcu. Zdarzają się tu i trzęsienia ziemi; ostatnie było w r. 1858 i dało początek kilku źródłom ciepłym. Miasto jest odosobnione. Potrzeba dwa dni uciążliwej drogi, ażeby się dostać z jednej strony do Dunaju, z drugiej do kolei tureckiej w Tatar-Bazardżyku. Wkrótce jednak Sofia położoną będzie na linii drogi żelaznej, idącej z Belgradu do Konstantynopola. Laveleye radzi założyć jaknajrychlej w bułgarskiej stolicy piękny park miejski i zadrzewić okolicę. Pilniej jest — powiada — sadzić drzewa niż budować pałace.

Generalny dyrektor kopalń w Bułgaryi, p. Thonard, wychowaniec szkoły specyalnej w Liège, objaśnia swego podróżującego ziomka o stanie górnictwa w kraju. Po obu stokach Bałkanów są bogate, nieruszono jeszcze prawie pokłady węgla. O 28 kilometrów na południo-zachód od Sofii znaleziono lignit. Ruda żelazna jest w różnych częściach kraju, równie jednak mało eksploatowaną. Sławne kuźnie w Samakowie produkują żelazo lepsze od szwedzkiego; roczny ich wyrób, głównie broń, sięga do 2,000 tonn rocznie. Kuźnie te upadają jednak, nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa z tańszem żelazem angielskiem. Są także w Bułgaryi kopalnie ołowiu, eksploatowane dawniej przez sasów.

U angielskiego konsula p. Lascelles, wszczyna się rozmowa o traktacie berlińskim. Laveleye potępia stanowczo dzieło lorda Beaconsfielda i podnosi wartość niedoszłego układu w San-Stefano. Ten ostatni tworzył pięciomilionową Bułgaryę dość silną i rozległą, ażeby się mogła rozwijać dalej bez niczyjej pomocy i wpływów. Traktat berliński podzielił ją na trzy części. Widzimy, co pociągnęło za sobą przyłączenie obecne Rumelii; zawikłania z powodu Macedonii nie dadzą zbyt długo czekać na siebie. Stan tej ostatniej prowincyi ma być obrazem zupełnego bezrządu, gdzie krzyżują się najróżnorodniejsze wpływy i brak zupełnie osobistego bezpieczeństwa. W Sofii wychodzi w języku francuskim pismo p. t. *la Voix de la Macédoine*, broniące interesów bułgarskich w tej prowincyi.

Według ostatniego spisu Bułgarya liczyła w 1881 r. 1,998.983 ludności (1,016,730 mężczyzn, 975,253 kobiet). Produkcya roczna wynosi: 800,000 tonn pszenicy, 150,000 kukurydzy. 375,000 jęczmienia, 185,000 żyta, 225,000 siana. Bydła rogatego i koni sztuk 489,115. Wywóz zbóż dochodzi do 200,000 tonn, z czego 78,684 idzie Dunajem, reszta zaś przez Warnę morzem Czarnem. W braku dróg koszta transportu są znaczne, natomiast ceny na miejscu nader niskie. Zbiory wina nie są obfite.

Po utworzeniu bułgarskiego księstwa 200,000 muzułmanów miało zeń wyemigrować, co wpłynęło szczególniej na ubytek ludności miejskiej. Domy i grunta tureckie sprzedane zostały po cenach nader niskich. Mimo to handel się zwiększył, bo obrót wynosił 52 miliony przeszło w r. 1879, zaś 90 z górą w 1882 r. Główny handel zamienny, jak w Serbii, odbywa się z Austryą, dalej idzie Anglia, potem Rumunia. Przywóz francuski w r. 1881 wynosił przeszło 3 miliony fr.

Reforma tureckiego systemu podatkowego, prowadzona przy pomocy delegata francuskiego p. Queillé, nie jest jeszcze bynajmniej ukończoną. Podatki pozostały jak za czasów tureckich, tylko dziesięcina w naturze została zamienioną na pieniądze. Niema wcale poborców i kontrolerów. Wsie i miasta płacą zbiorowo podatki, ściągano przez wójtów i burmistrzów (*kmet*). Podatek gruntowy wynosi 4 na 1,000 od nieruchomości; 3 na 100 od rzeczy ruchomych; istnieje prócz tego podatek dochodowy (3 od 100), taksy na bydło, tytoń i napoje. Wpływ podatków—35 milionów fr., w czem połowa z gruntowego i taksy na bydło; cła przynoszą 5 milionów, tytoń 2. Co do wydatków, budżet ministeryum wojny zawiera 11 milionów, żandarmerya kosztuje 2, lista cywilna księcia 600,000 fr., Izba 300,000 fr. 2 miliony fr. przeznaczone są ministerstwo oświaty.

Czarnym punktem finansów bułgarskich — powiada Laveleye — jest narzucony przez traktat berliński obowiązek wykupienia drogi żelaznej Ruszczuk-Warna za 50 milionów, gdy kolej nie warta i 20. Przytem użyteczna dla Europy w komunikacych jej z Konstantynopolem, dla Bułgaryi nieposiada wartości. Bułgarya podobnie jak Serbia, Grecya i Rumunia, przyjęła system monetarny francuski, frank jednak nazywa się tu *lew*. Założony został Bank narodowy na wzór belgijskiego pod dyrekcyą p. Goszowa. Obroty jego są dotąd nieznaczne, mimo to zaszły już w jego zarządzie różne nadużycia za czasów „ministerstwa zamachu stanu.“ Ankieta wyznaczona w r. 1885 przez Izbę bułgarską wykryła, że na umeblowanie i budowę książęcego pałacu wydano 200,000 fr. po nad sumę 2,553,556 fr. na ten cel przeznaczoną. Pieniądze te nadpłacono na osobisty ukaz księcia, bez zezwolenia Izby. Wzięto prócz tego jeszcze z kasy Banku bez upoważnienia 200,000 fr. na koszta podróży księcia i różne drobne wydatki. Po-

stępowanie tak samowolne było nawet przeciwne konstytucyi bułgarskiej, zmienionej po zamachu stanu.

Podobnie jak w Serbii, stosunki społeczne w Bułgaryi są na dziś pomyślne. W kraju niema wielkiej własności i arystokracyi; dzierżawy nieznane. Około gór Rodope, w okolicy Wranii i Kustendilu zachowały się jeszcze resztki urządzeń feodalnych.

Bułgarzy — powiada Laveleye — mają w wysokim stopniu zalety, które zapewniają pomyślny rozwój kraju: są pracowici wytrwali, inteligentni, oszczędni; dobrzy rolnicy, cieśle i mularze. Oni to właśnie na całym półwyspie trudnią się uprawą jarzyn.

Bułgar o wiele się różni od serba. Ten ostatni jest bardziej żywym i otwartym, skorszym do wydatków, bardziej wymownym, rycerskim, więcej wreszcie poetycznym, mniej jednak pracowitym i mniej wytrwałym. Bułgar natomiast chłodny, ześrodkowany, roztropny, ponury nawet; idzie on zwykle wolno, lecz na pewno do swego celu. Serb — według Laveleya — podobnym jest do polaka, bułgar do czecha lub sasa. Pierwszy przyczynia się bardziej do rozkwitu literatury, drugi do ekonomicznego rozwoju. Moralność ma być bardzo surową. Wogóle — kończy podróżnik — jest to rasa wytrwała, silna, płodna, moralna, która dostarczy wybornego materyału dla społeczeństwa wolnego i rozwijającego się pomyślnie.

Robiąc wycieczkę ku podgórzom Witosza, autor widzi rekrutów, ćwiczących się na równinie. Ubrani są w szare płócienne mundury, na głowie mają baranie kołpaki. Komenda odbywa się w języku rosyjskim. Kapitan zapewnia, że bułgarzy są doskonałymi żołnierzami. Armia czynna liczyła w księstwie 16,625 ludzi na 2 miliony blizko ludności. Rezerwy wynosić miały do 60,000, nie licząc ochotników. W obecnych bitwach z serbami bułgarzy złożyli udarzające dowody męstwa.

Pierwotna konstytucya, uchwalona w Tyrnowie w 1879 r. dała Bułgaryi ustrój demokratyczny: głosowanie powszechne, swobodę zebrań i prasy, wolność zakładania stowarzyszeń, noszenia broni, jedną wreszcie tylko Izbę prawodawczą. Nietykalność własności i tajemnica listowa zostały poręczone. Każde prawo winno było być uchwalone przez Izbę; nauczanie uznanem zostało za obowiązkowe i bezpłatne. Zgromadzenie narodowe składa się z posłów wybieranych bezpośrednio, 1 na 10,000 mieszkańców. Każdy obywatel jest wyborcą w 20 roku życia, może zaś być posłem w 30-tym, skoro tylko umie czytać i pisać. Budżet winien być przedstawiany Izbie do uchwały co roku etc.

Pierwsze wybory dały dwukrotnie większość liberalną i demokratyczną. Większość ta nie była trudną do rządzenia, była jednak nieufną, oszczędną i mało skłonną do ustępstw rządowi w sprawie wydatków nadzwyczajnych. Nie podobało się to księciu, wychowanemu na dowódcę pułku i mało przygotowanemu do trudnej roli konstytucyjnego monarchy. Postarano się mu wytłomaczyć, że nie podobna jest rządzić przy tak republikańskiej konstytucyi i poradzono zamach stanu wraz z zawieszeniem konstytucyi.

Gdy zwiedzałem Sofię — pisze Laveleye — ten rodzaj rządów osobistych ciągnął się dalej. Wybory odbyły się *manu militari*. Przywódcy umiarkowanej partyi liberalnej byli wygnani z kraju, główny z nich, Zankow, internowany. Generałowie Kaulbars i Sobolew byli panami sytuacyi; weszli nawet do Izby i komenderowali nią po wojskowemu.

W tych warunkach wytworzyły się trzy partye: konserwatywni, liberalni i radykalni. Zachowawcy podtrzymywali początkowo księcia i porządek wytworzony po zamachu, wkrótce jednak sprzykrzyli sobie wojskową komendę, której słuchać byli obowiązani. Wobec ogólnego niezadowolenia podali ręce liberalnym. Przywódcy obu partyj, Zankow i Natowicz, zawarli ze sobą umowę i zażądali zgodnie od księcia, ażeby powrócił do konstytucyi tyrnowskiej. Aleksander uległ i utworzyło się wtedy ministerstwo liberalne, złożone z Zankowa, Bałabanowa, Sarafowa i Pomianowa. Przed niedawnym czasem gabinet ten ustąpił miejsca radykalnemu ministerstwu Karawełowa. Prezes radykalnego gabinetu, pod którego kierownictwem przeprowadzono obecne połączenie Bułgaryi z Rumelią, ma być człowiekiem nader zręcznym i cieszy się zarówno zaufaniem kraju jak księcia.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną — pisze Laveleye — że demokratyczny ustrój konstytucyjny przyjmie się ostatecznie w Bułgaryi, pod dwoma jednak warunkami: po pierwsze, jeżeli książe zrzeknie się ostatecznie rządów osobistych i zgadzać się będzie zawsze na gabinet, wychodzący z łona większości; po drugie, jeżeli stare swobody gminne będą uszanowane i nie zostaną ograniczone na rzecz władzy centralnej.

Gdy król Leopold przybył w r. 1830 do Belgii, zdawało mu się także, że nie będzie mógł rządzić z belgijską konstytucyą ówczesną. Przyjaciel jego Stockmar poradził mu spróbować i próba udała się. Toż samo może się stać w Bułgaryi, należy tylko strzedz się biurokracyi i parlamentaryzmu, dwu klęsk, trapiących inny kraj wolny półwyspu, Grecyę.

„Zgromadzenie bułgarskie — pisze L. — zawiera w sobie wielką liczbę „baranich skór," to jest posłów wiejskich noszących strój ludowy, z baraniem podszyciem. Odzież tych wieśniaków nie harmonizuje zapewne z wystawnemi obiadami i wystawnością dworską; prócz tego, posłowie ci są nader oszczędni i niedowierzający obcym — w czem mają racyę — nie łatwo zapewne zgodzą się oni uchwalać zbytkowne wydatki, mogą jednak utworzyć doskonałą podstawę operacyjną dla każdego rządu, który pozostanie wiernym tradycyom kraju, który szanować będzie wiekowe urządzenia i nie przejmie od Zachodu opłakanego zwyczaju wydawać za wiele i łatać niedobory peryodycznemi pożyczkami."

Wybornych tych rad, młody książe Aleksander, otoczony obecnie aureolą zwycięstwa, słuchać zapewne nie będzie. Gdzie zresztą, pytamy, szły jakie sprawy według wymagań roztropnego i zważającego na wszystko rozsądku? Należy jednak mieć nadzieję, że partya, która przyjęła udział tak wybitny w obecnych wypadkach, utrzyma się i nadal przy władzy i przyczyni się do utrwalenia urządzeń demokratycznych.

Autor przemawia pod koniec gorąco za zjednoczeniem Bułgaryi i wyraża mniemanie, że połączone to państwo, tymczasowo pod zwierzchnictwem Turcyi, przestałoby zagrażać pokojowi w Europie.....

E. P.

ODCZYTY.

Piotr Jaksa-Bykowski.

Życie towarzyskie w Polsce.

P. Bykowski, powieścio-pisarz historyczny uchodzi za znawcę strony obyczajowej dawnego życia polskiego. Może tytuł ten jest zupełnie słusznym, ale w dwóch odczytach swoich szczególnej znajomości przedmiotu prelegent wcale nie wykazał. Skarżył się on na brak materyałów do dziejów życia domowego w Polsce, ale i tych, które są, bynajmniej nie wyzyskał. Materyałów cennych, wskazówek charakterystycznych znalazłoby się dosyć, gdyby ktoś umiał z zasobów tych skorzystać; niema tylko dotychczas dzieła, któreby streściło i uogólniło te luźne, rozproszone szczegóły. Przestarzała praca Gołębiowskiego nie posiada wartości, jako pozbawiona zupełnie krytyki. Nie oczekiwaliśmy od p. Bykowskiego gruntownego i wyczerpującego przedstawienia życia towarzyskiego w Polsce, ale spodziewaliśmy się przynajmniej żywego obrazu dawnych stosunków. Tymczasem prelegent dał nam tylko bardzo pobieżny, ogólnikowy szkic, powtórzył wiele rzeczy powszechnie znanych i daleko więcej mówił o swoich zapatrywaniach na przeszłość, niż o życiu domowem i towarzyskiem przodków naszych. Ze zdziwieniem niejakiem usłyszeliśmy, że bezwzględne apoteozowanie przeszłości jest rzeczą szkodliwą, że krytyka surowa i sprawiedliwa jest potrzebną, że nawet fałszywem jest zdanie, iż dawniej lepiej się działo. W charakterystyce XVII i XVIII stulecia prelegent nie szczędził barw ciemnych, ale nawet i w XVI wieku znalazł on plamy. Na dworze Zygmuntów ludzi uczciwych policzyć można na palcach. Sprzedajność, zdzierstwo, grabież grosza publicznego, pijaństwo i rozpusta gnieździły się na dworach magnackich. Autor wskazuje i jasne strony życia w tej epoce, ale z biegiem czasu robi się coraz ciemniej, coraz chmurniej, coraz podlej. Zepsucie obyczajów wyższych warstw społeczeństwa z każdym rokiem niemal wzrasta. P. Bykowski twierdzi, że po upadku rzeczypospolitej arystokracya otrzeźwiała się i spoważniała, na dowód tego przytacza istnienie salonów poważnych, w których gromadziła się inteligencya. Ale przecież życie umysłowe za Stanisława Augusta płynęło pełniej i szerzej, rozpusta zaś obyczajowa była tak samo rozpowszechnioną w pierwszej ćwierci XIX, jak w ostatniej XVIII wieku. Dopiero po 1830 r. zauważyć można zmianę na lepsze pod wpływem poezyi romantycznej i rozbudzenia się uczuć narodowych.

Z przyjemnością zaznaczamy zmianę w poglądach p. Bykowskiego; widocznie owe „ptaki, które kalają własne gniazdo" gdzieś odleciały.

P.

LIBERUM VETO.

Pytanie p. Danysza. — Rozmyślania. — Kolejność czynów. — Zapatrzeni w słońce. — Mrówki i pszczoły. — Chóry amatorskie. — Nasza obojętność. — Podkowa i wiśnie. — Znowu kwestya gabinetowa w teatrze. — Potrzeba zimnej wody. — Pamiątkowy numer *Kraju* na cześć Mickiewicza.

„Jeżeli niemcy, francuzi, duńczycy, szwedzi itp. w krótkim czasie doszli do tego, że niema u nich miasta, a nawet miasteczka, gdzieby nie znajdowało się kilka chórów amatorskich, dlaczego byśmy i my, mając wiele ku temu danych, nie mieli ich posiadać?" Gdyby p. Danysz, który to pytanie publicznie postawił, zagadnął: czemu, jak francuzi, szwedzi itd., nie posiadamy np. towarzystw naukowych, odpowiedź byłaby łatwą. Trudniejszą ona jest co do chórów amatorskich. Czemu ich nie mamy? Albo ja wiem. Nie mamy — i dosyć! Nie dosyć? powiadasz, czytelniku. Więc pomyślmy o tym przedmiocie. Co do mnie, rozumuję tak. Człowiek, który ugrzązł w błocie, który jednocześnie trzymać musi swą czapkę, podry-

waną wichrem, zasłaniać oczy przed zimnym deszczem, oglądać się trwożliwie, człowiek taki nie myśli o zapięciu sobie surduta. A jednak, gdyby go zapiął, może by się nie przeziębił. Podobnież na pozór wydaje się śmieszną drobnostką zachęta do tworzenia chórów amatorskich teraz, kiedy wszyscy śpiewamy smutny hymn biedy. Nie zapominajmy wszakże, że naród nie może naśladować dziecka, które powiada: jeśli nie dostanę nowej sukienki, nie zjem obiadu. Naprzód *a*, potem *b*, a dopiero *c*. Taka kolejność w pracy osobniczej i zbiorowej jest często potrzebną i pożyteczną, ale jako zesztywniały systemat — szkodliwą. Obok planu życia stać powinna gotowość wyzyskania każdej chwili. Zleniwieje i nic nie zrobi jednostka, powtarzająca według logiki owego dziecka: zacznę pracować, jak spłacę długi. Zleniwieje i nic nie zrobi naród, który według tej samej logiki układa sobie następstwo czynów. A ileż razy słyszymy u nas zasadę tego porządku przedsięwzięć jako prawidło polityki i socyologii! Ile razy napominano naszych postępowców: naprzód trzeba załatwić sprawy zewnętrzne, a potem przystąpić do wewnętrznych! Chłop powinien być oświecony. Dobrze, ale nie teraz; przedtem... Nauka powinna być niezależną. Dobrze, ale nie teraz; przedtem... Robotnik powinien mieć ubezpieczoną starość... Dobrze, ale nie teraz; przedtem... itd. Ponieważ zaś owo „przedtem" wisi wysoko, nad chmurami, więc mnóstwo jego ogniw następnych przepada, a raczej czeka nieokreślonej pory. Większość społeczeństwa i jego przewodników wdziewa na siebie uroczysty strój idealnych, niedoścignionych celów, kryjąc pod nim swe szczere przekonania i uczucia, swoje różnice, a przestrzegając starannie zgody z ogólnym tonem. Jeżeli pragnę, ażeby mój syn był wielkim człowiekiem, jeżeli nawet mam nadzieję, że nim będzie, nie mogę tą przyszłą jego wielkością zasłaniać sobie moich obecnych względem niego obowiązków. Matka małego Kopernika niezawodnie obtarłaby mu nosek, chociażby wiedziała, że jej Mikołajek zostanie najznakomitszym astronomem.

Słońce jest pięknem i dobroczynnem ciałem wszechświata, którego ciepłem i światłem żyje cała natura. Gdyby wszakże jej twory zaczęły w nie tylko wpatrywać się, oślepłyby i zmarniały. Toż samo powiedzieć można o jednostkach i narodach zapatrzonych w wielkie ideje i niewidzących tego, co ich otacza. Kiedy mrówka dźwiga patyczek a pszczoła kruszynę wosku, może obie myślą o wspaniałości swych dzieł zbiorowych, ale niewątpliwie czują potrzebę trudów drobnych. Naśladujmy je.

Jak rzekłem, p. Danysz chce u nas stworzyć chór amatorski. Przyznaję, że ludziom zatopionym w blasku olbrzymich przedsięwzięć, nie umiem wytłomaczyć ważności zbiorowego śpiewu. Co najwyżej przypomnić im mogę dobroczynny wpływ sztuki na uczucia narodu i wskazać przykłady za granicą. Niemcy, francuzi, szwedzi itd. z wielkiem zamiłowaniem uprawiają to pole. Tam spotykasz bardzo liczne chóry amatorskie, złożone z najrozmaitszych i najdalej od siebie położonych żywiołów społecznych. Dygnitarz śpiewa obok rzemieślnika, a bogaty przemysłowiec obok biednego oficyalisty. Wszyscy wzajemnie się nie krępują, przeciwnie, wszyscy w tem jednem zadaniu się godzą. Zresztą, po co tak daleko sięgać! Słyszeliśmy i podziwiali członków lwowskiej „Lutni." Bo czasem nie brak nam uznania dla takich zbiorowych występów — dowodem zachwyty nad grupą śpiewaków szwedzkich. P. Danysz zebrał gronko chętnych w warstwie uboższej, z którem kolejo, chociaż latem ukazał je w wykonaniu „Stworzenia świata" Haydna. Tak zwana bowiem „inteligencya" i klasy zamożniejsze odmówiły mu swego udziału. Czy nie chcemy „się mieszać?" Czy nie odczuwamy dostatecznie pożytku takiej instytucyi? Zapewne jedno i drugie. Pozbawieni jesteśmy zmysłu pszczół i mrówek, a poważna, od tańca odłączona muzyka nie sprawia nam istotnej przyjemności, nie stała się naszą potrzebą. Czy więc i ten dobry zamiar ma wpaść w tę otchłań obojętności, w którą wrzuciliśmy tyle kamieni, służących do brukowania piekła?

Nie do mnie należy rozstrzygnięcie tego pytania postawionego ogółowi; ja tylko mogę cieszyć się widokiem postępu w jakimkolwiek kierunku życia lub smucić się jego zastojem. Ów postęp zaś nie jest szeregiem samych skoków, lecz także posunięć drobnych. W pewnej powiastce dziecinnej syn mija lekceważąco na drodze starą podkowę, którą ojciec podnosi, sprzedaje, za otrzymane pieniądze kupuje wiśni, które upuszcza po jednej, a spragniony syn schyla się po nie wielokrotnie. Powiastka to bardzo pouczająca! Bo ileż my razy wzgardliwie przechodzimy koło starej podkowy, którą ktoś inny podnosi i po nabyte za nią wiśnie każe nam się często schylać! Odezwa p. Danysza jest słuszną przestrogą.

Byłby on zupełnie zadowolony, gdybyśmy jego chórowi amatorskiemu poświęcili tylko cząstkę tej uwagi, którą trwonimy na „kwestye gabinetowe" teatru. W spokojne życie nasze od czasu do czasu wpada bomba — wiadomość, że jakaś aktorka podała się do dymisyi z powodu... Powody bywają zwykle tak ważne, jak tegoroczny śnieg, który, nie doleciawszy do ziemi, topnieje: nieodpowiednia dostojności rola, opryskliwość reżysera lub cóś podobnego. Naturalnie w tej chwili niektóre dzienniki pospieszają z wyrazami żalu i nadziei, że dyrekcya uwzględni słuszne życzenia artystki i nie dopuści do „konfliktu." Mnie by się zdawało, że zamiast ciepłej należałoby używać do tych wypadków zimnej wody i nie rozkapryszać do reszty już i tak grymaśnego światka. W ubiegłym tygodniu groziła dymisyą p. Wisnowska, która uważa się za upośledzoną przy rozdawnictwie ról. Chwalimy jej bardzo, że chce często grać, to jest więcej pracować; ale upośledzenia żadnego nie widzimy. Jeżeli kto, to przedewszystkiem p. Wisnowska nie powinna się skarżyć ani na dyrekcyę, ani na publiczność: pierwsza pozwoliła jej stanąć na najwyższym szczycie, na jakim artystka tej miary stanąć może, druga wynagradza ją uznaniem bez skąpstwa, owszem, z pewną rozrzutnością. Gdyby p. Wisnowska wiedziała, ilu ludzi utalentowanych podziękowałoby Bogu lub losowi za jej pensyę i jej sławę, niezawodnie ani razu nie żądałaby dymisyi!

Nie wyłączam z nich (naturalnie tylko co do pensyi) nawet Mickiewicza, któremu *Kraj* petersburski poświęcił osobny numer, zapełniony artykułami grona pisarzów polskich i obcych. Ponieważ oprócz zwykłej rocznicy śmierci genialnego wieszcza nie zachodził żaden inny powód zewnętrzny do takiego wystąpienia, sądziłem, że *Krajowi* udało się zebrać garść promieni, rzucających nowe światło na tego olbrzyma naszej literatury. Niestety, zawiodłem się zupełnie. Zebrano kłosy zwykłe (czasem puste) i związano snopek pospiesznie. Nawet Brandes, znający zaledwie przekład niemiecki *P. Tadeusza*, wywinął się z zadania ogólnikami. Całość też zbioru robi wrażenie dobroczynnej jednodniówki. Jest to dowód, że umiemy czcić Mickiewicza, ale nie umiemy go oceniać. Klęczymy przed nim jak pobożni przed bóstwem, ale nie stoimy jak filozofowie. Zapowiedziana już ogłoszeniami książka Chmielowskiego budzi skutkiem tego usprawiedliwioną ciekawość. Może on postawi przed nami dokładnie wyrzeźbioną postać największego poety polskiego i najsympatyczniejszego (dla mnie) z poetów świata. Może... A czas już na to, już dawno należało oddać Mickiewiczowi pomnik w słowie, zanim odlejemy w spiżu.

Naturalnie *Kraj* takiego pomnika słownego wystawić nie mógł, ale współpracownicy numeru pamiątkowego mogli byli przynajmniej zarysować jego szkic. Nie zmniejsza to dobrych chęci redakcyi, dla której mielibyśmy zupełne za ten objaw czci uznanie, gdyby ona go zbyt nie obnosiła po kolumnach płatnych reklam i ogłoszeń. Są uczucia, są hołdy, są pamiątki, które nie powinny zachwalać się w inseratach.

Ale — jak rzekłem — pomimo to wszystko tylko przyjemnym i tylko pożądanym być może taki kult potomności dla swych wielkich mistrzów. Chociaż dotąd nie oceniliśmy Mickiewicza, czcijmy go przynajmniej.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dwa sprostowania. — Ponowna próba z kwestyonaryuszem. — W obronie praw gminnych. — Kto winien. — Człowiek jaskiniowy. — Z Tomaszowa. — Wyrok sądu kijowskiego.

Tydzień ubiegły przyniósł nam aż dwa sprostowania faktów, o których mówiliśmy w numerze poprzednim *Prawdy*. W jednem z pism codziennych niejaki p. J. Gensz zaprzecza wiadomości o dręczeniu dziewczyny niewinnie posądzonej o kradzież. Sposób jednak, w jaki autor „prostuje" kłamliwe doniesienia, nazwać można—krzywym. Czternastoletnia służąca, posądzona o kradzież pierścionka, „po krótkiem badaniu" przyznała się, ale ponieważ nie chciała (a może nie mogła) wskazać miejsca, w którem schowała przywłaszczony przedmiot, „została ukarana rózgą," żeby zaś nie uciekła, „zamknięto ją na dwie godzin(y) do zachowanka, przylegającego do sypialnego pokoju." Pocieszającem jest zapewnienie, że „omówiona" dziewczyna cieszy się jak najlepszem zdrowiem. „Omówiony" p. Gensz sądzi, że przytoczone przezeń szczegóły zmieniają bodaj cokolwiek charakter sprawy. Samowolne chociaż „krótkie" badanie, chłosta i więzienie w „zachowanku" są to czyny jednakowo wstrętne moralnie i zarówno podlegające surowej karze prawa—jak narysowanie fosforem smoka. Gdybym nie wiedział, to po tej „krzywej" logice, po tych „obywatelskich" poglądach i po—stylu odgadłbym odrazu, że „omówiony" p. Gensz jest pisarzem ludowym. Autor uchodzi zapewne w Płocku za demokratę, w czem zresztą nie ma nic dziwnego, bo przecież pismo, które pomieściło jego sprostowanie, broni niby interesów ludu polskiego.

Z Turka znowu odzywa się głos jakiegoś obywatela, przeczący, że w tem mieście zawiązało się kółko literackie. Może dopiero coś podobnego będzie, ale to jeszcze rzecz niepewna. Pisma, zaznaczające ten protest, twierdzą, że w Turku powinno teraz zawiązać się na prawdę kółko literackie.

Twierdziłbym i ja to samo, gdybym posiadał taką silną wiarę, jaką ma p. T. Kowalski. Na 1060 kwestyonaryuszów w sprawie przemysłu drobnego otrzymano 129 odpowiedzi, z których znaczna część nie ma żadnej wartości. Pomimo to p. Kowalski pragnie rozesłać nowy zapas szematów i kołatać dopóty, dopóki nie zdobędzie potrzebnych wiadomości. Podziwiam tę wytrwałość, ale wątpię o dobrym skutku. Pozwolę sobie zrobić uwagę, że może brak odpowiedzi, w części przynajmniej, tłomaczy się niewłaściwem zaadresowaniem pytań. Dotychczas wszelkiego rodzaju

kwestyonaryusze przesyłają się wyłącznie prawie obywatelom ziemskim. Tymczasem ci z nich, których sprawy ogólne obchodzą, tyle mają zajęć, że sumiennemu zbadaniu przedmiotu nie mogą poświęcić wiele czasu, ci zaś, którzy chwil wolnych nie liczą, nie posiadają ani chęci, ani innych potrzebnych warunków. Zresztą, jeżeli zbadanie drobnego przemysłu ma przynieść jakąś korzyść, powinno być bardzo szczegółowem. Kilka lub kilkanaście dokładnych opisów więcej nam powie, aniżeli zebranie z całego kraju wiadomości ogólnych, powierzchownych. Dla ujednostajnienia badań, potrzeba i wtedy ułożyć szematy, ale oprócz tego zwrócić uwagę zbierających dane na zaznaczanie charakterystycznych właściwości miejsca, sposobu i natężenia pracy, zbytu itp. Gdyby mnie nie posądzono o chęć ubliżenia „przodownikom narodu,“ dodałbym, że tego rodzaju roboty najlepiej wykonaliby ludzie młodzi. Corocznie setki wychowańców wyższych zakładów naukowych wyjeżdżają na wakacye, jedni z nich znają dobrze okolice rodzinne, innym, którzy jadą w strony obce, inteligencya miejscowa nie odmówiłaby objaśnień. W każdej pracy energia i dobre chęci więcej znaczą, aniżeli powaga umysłu i senatorska objętość ciała. Zbieranie jakichkolwiek danych przedstawia u nas pewne trudności i budzi pewne podejrzenia, możnaby jednak pierwsze usunąć a drugie uspokoić bardzo łatwo, gdyby Towarzystwo Zachęty przemysłu i handlu zaopatrzyło swoich, że tak powiem, korespondentów w specyalne bilety imienne.

Gubernia radomska posiada podobno najwięcej wójtów piśmiennych, z czego jednak nie wynika, żeby w tej części kraju zdarzało się mniej nadużyć. Obecnie znalazł się tam wójt—literat, który polemizuje z gazetą miejscową o to: czy pisarze powinni być wybieralni, czy też nie? Autor listu twierdzi, że wybory są niepotrzebne, a raczej wątpi, czy są potrzebne, bo nie widzi, jakie stąd dla gminy wypłynąć mogą korzyści. P. wójt uważa widocznie gminę, jako najniższy szczebel drabiny administracyjnej, nie zaś jako jednostkę samorządu miejscowego. Według niego pisarz przedewszystkiem powinien „znać służbę,“ ale nie tylko pisarz nawet. Mówiąc o wójtach, dodaje np. na pochwałę ich, że niektórzy „jako byli pisarze gminni są obznajmieni ze służbą.“ Tymczasem wójt i pisarz powinni tylko znać ustawę gminną i prawa krajowe, przedewszystkiem zaś posiadać rozum, uczciwość i odwagę cywilną. Sprawy gminne dopóty nie mogą iść porządnie, dopóki wójci i pisarze nie przyjdą do przekonania, że są oni jedynie pełnomocnikami ludności gminy.

Przenieśmy się na chwilę do Warszawy, bo oto właśnie sprawa rozstrzygnięta przed paru dniami przez sąd okręgowy tutejszy dostarcza dowodu na korzyść naszego zdania. Naczelnik powiatu błońskiego wydał w r. z. postanowienie, żeby kancelarya gminy Kaski przeniesiona została do Jaktorowa, dla ułatwienia komunikacyi z władzą i rozciągnięcia dozoru nad ludnością robotniczą, pracującą w nowo utworzonej filii zakładów żyrardowskich. Włościanie zaś twierdzili, że powodem przeniesienia było życzenie wójta, p. Gąsowskiego, człowieka inteligentnego, który mieszkał w Jaktorowie, gdyż stąd dogodniej mu było zarządzać dobrami hr. Potockiego. Mieszkańcy gminy udali się najprzód do naczelnika powiatu z prośbą, żeby cofnął swój rozkaz, kiedy zaś otrzymali odmowę, podali skargę do komisarza włościańskiego. Obaj przedstawiciele władzy przybyli do wsi Kaski, ale kiedy p. naczelnik zagroził nieposłusznym karą, p. komisarz oświadczył im, że według prawa kancelarya może być przeniesioną tylko na zasadzie uchwały zebrania gminnego. Ufni w zapewnienie komisarza, który w danym wypadku postąpił, jak mu sumienie i obowiązki urzędu nakazywały, włościanie rozeszli się uspokojeni zupełnie. Kiedy jednak w kilka tygodni potem wójt zaczął przenosić kancelaryę—napotkał stanowczy opór. Uwiadomiony o tem naczelnik powiatu przybył z 16 strażnikami, włościanie wszakże zebrani w liczbie dwustu osób rozpędzili podwody i oświadczyli, że nie dadzą ruszyć niczego, dopóki nie zostanie zwołane zebranie gminne. Wtedy dla utrzymania powagi władzy wezwano rotę żołnierzy, księgi i papiery przewieziono, winnych zaś aresztowano. Na posiedzeniu sądowem, dzięki zeznaniom dowódzcy roty i innych osób, sprawa wyjaśniła się należycie. Prokurator odstąpił od pierwotnego oskarżenia, grożącego winnym ciężkiemi robotami, i oświadczył, że ponieważ włościanie mieli słuszną podstawę do wystąpienia przeciw naczelnikowi powiatu, prosi o zmniejszenie im kary. Sąd większość oskarżonych uniewinnił, innych zaś za zelżenie czynne strażników i wójta oraz za obrazę słowną p. naczelnika—skazał na areszt kilkudniowy lub krótkie więzienie.

W Kijowie wiele hałasu narobiło odkrycie jaskini starożytnej, a w niej szczątków człowieka kopalnego. Rozumie się, szczęśliwym odkrywcą był p. Kibalczyc, który wciąż robi poszukiwania archeologiczne i „dokopał się“ już wcale ładnego majątku. Tymczasem profesorowie—specyaliści orzekli, że jaskinia jest zwyczajną jamą a człowiek kopalny umarł najwyżej przed 30—40 laty. Z kształtów czaszki i innych danych sądzić można, że nieboszczyk jakkolwiek nie może być uważany za protoplastę dawnych polan, jest wszakże słowianinem i zapewne po pijanemu wpadł do jamy, w której śmierć znalazł.

Mieszkańcy Tomaszowa rawskiego skarżą się na straszną drożyznę, której nie zmniejszyło wcale otwarcie drogi żelaznej. Miejscowi przekupnie izraelici zmówili się między sobą i nie dopuszczają współzawodników. Jednowiercy ich z sąsiednich miasteczek, którzy przybyli z zapasami, zbici musieli rejterować. Obywatele tomaszowscy płaczą i przeklinają wyzysk żydowski, ale tymczasem płacą dobre ceny i sami nic nie robią, ażeby wyjść z tego położenia.

Dla czytelników z t. z. gubernij zachodnich zaznaczam dwie nowiny. Sąd okręgowy kijowski uznał, że osoby pochodzenia polskiego mają prawo zawierać wszelkie umowy dzierżawne i nakazał notaryuszom spisywać odpowiednie kontrakty, dotychczas bowiem niektórzy z nich, fałszywie tłomacząc ostatni ukaz, odmawiali stronom zatwierdzenia umowy.

Druga wiadomość dotyczy czynszowników. W roku przyszłym sprawa zostanie wreszcie uregulowaną i czynszownicy, za stosownym wykupem, otrzymają grunta, które obecnie znajdują się w ich posiadaniu. Będą wszakże wyjątki—ale jakie, o tem gazety rosyjskie milczą.

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 10 grudnia.

Sprzeczne wiadomości, jakie wciąż dochodzą z półwyspu bałkańskiego, nie pozwalają wyprowadzić żadnych ogólniejszych wniosków. Formalne zawieszenie broni pomiędzy serbami i bułgarami dotychczas nie zostało zawarte. Powołany nagle do Wiednia pełnomocnik austryacki powrócił z nowemi instrukcyami i ma obecnie nadzieję skłonić obie strony wojujące do porozumienia; nadzieja ta wszakże może okazać się zawodną, jak tyle innych, które od początku zawieruchy wschodniej żywiono.

Książe Aleksader oświadczył, że nie czuje się związanym przez deklaracyę wysłaną do sułtana, zwłaszcza że Turcya nie pomogła wcale Bułgaryi. Komisarze tureccy, którzy przybyli do Filipopola wyjechali stamtąd jak nie pyszni, ponieważ nikt z nimi nie chciał wchodzić w stosunki. W odpowiedzi przesłanej wezyrowi książe bułgarski stanowczo powiada, że unii nie wyrzeka się wcale; takie same oświadczenie przesłał on również przedstawicielom mocarstw. Bardzo być może, że ta stałość w postanowieniu przyniesie pożądane dla Bułgaryi owoce. Dzisiaj już Austrya zgodziłaby się na unię, byle tylko pozyskać jaki kawałek ziemi dla Serbii. Rosya zaś, która w zasadzie nic nie miała przeciw połączeniu obu Bułgaryj, ale potępiała tylko rewolucyjny sposób załatwienia tej sprawy, udzieli chętnie zezwolenia, pod warunkiem, że „osobistości znane z dążeń rewolucyjnych usunięte będą od steru rządu.“ Gazety mówią już o nowej konferencyi przedstawicieli mocarstw, która zbierze się w Berlinie. Słowem, pomimo niepokojących wieści o posuwaniu się rosyan ku granicom Afganistanu, pomimo manifestu wojennego wygłoszonego w Towarzystwie słowiańskiem w Petersburgu, za który gen. Durnowo otrzymał urzędową naganę, widnokrąg polityczny wyjaśnia się nieco. Najniebezpieczniejszą chmurą jest jeszcze polityka Anglii, o której nie wiadomo dotąd, czy niesie pioruny i burzę, czy też po wielkich grzmotach i błyskawicach skończy się małym deszczykiem. Ukończone właśnie wybory do parlamentu powinny i tę wątpliwość wyjaśnić. Powrót do władzy liberałów spowodował by pewne zmiany, jakkolwiek bowiem polityka Anglii w sprawach wschodnich zawsze jest jednakową, to wszakże Gladstone prowadzi ją lękliwie i chwiejnie, Salisbury zaś zuchwale i konsekwentnie. Rezultat wyborów wypadł po części na korzyść liberałów; okręgi wiejskie, dotychczas najczęściej głosujące na zachowawców, obecnie dzięki powołaniu nowych warstw do udziału w życiu politycznem, wybrały wigów. W przyszłym parlamencie liberalni liczyć będą 317 głosów, brak im więc dwudziestu blizko do większości; konserwatyści przeto mogą utrzymać się przy władzy, jeśli zechcą i potrafią wejść w układy z irlandczykami. Ci ostatni zajęli dziś decydujące stanowisko, bez ich poparcia każdy rząd jest niemożliwym; nic więc dziwnego, że oba stronnictwa angielskie kokietują home-rulerów i licytują pomiędzy sobą ustępstwa, jakie im przyznać należy. Śmiała i bezwzględna polityka Parnella i jego zwolenników uwieńczona została powodzeniem, które powinno być wskazówką i wzorem dla Irlandyi austryackiej — Galicyi.

O interpelacyi w sprawie wydaleń polaków z Prus mówi *Prawda* na innem miejscu; tu zaznaczę tylko, że w mowie swojej kanclerz zbił zarzut opozycyi, jakoby krok rządu pruskiego był lekkomyślnym. Bismark oświadczył wyraźnie, że zanim ogłoszono uchwałę o wydalaniach Prusy porozumiały się z rządami państw ościennych.

Bawarska Izba deputowanych odrzuciła układ z Rosyą o wydawaniu przestępców politycznych. Podczas rozpraw minister spraw zagranicznych kilkakrotnie zabierał głos, upominając posłów, ażeby w przyzwoity sposób wyrażali się o umowie międzynarodowej.

Kongres połączonych Izb francuskich dla wyboru prezydenta odbędzie się 20 grudnia.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kasa Mianowskiego zmieni swego prezesa, gdyż dotychczasowy, czcigodny dr. Chałubiński z powodu zajęć oraz wymagań zdrowia zrzekł się tej godności. Wybór następcy należy do komitetu, który nie będzie miał kłopotu, posiadając w swem gronie ludzi bardzo poważnych i dla kasy zasłużonych. Dość wymienić jej wiceprezesa i niemal twórcę dr. St. Kronenberga.

Zmiana zapisu. Dr. Chojnacki zapisał 9,000 rs. z procentów, od których wydawane być miały nagrody za dzieła naukowe i popularne z zakresu medycyny. Rada uniwersytecka, która jest wykonawcą testamentu postanowiła większością 21 przeciw 17 głosów, że prace konkursowe powinny być pisane wyłącznie w języku rosyjskim.

Nowe komory. Departament celny popiera projekt ważny bardzo dla handlu Królestwa urządzenia komór celnych w Łodzi, Piotrkowie, Lublinie, Radomiu, Płocku i Kielcach.

Obfity spadek meteorów, który zauważono w wielu miejscach 27 listopada, według objaśnienia astronomów, pochodził stąd, że ziemia spotkała się z częścią t. z. komety Bieli. Kometa ta uważana była za peryodyczną, obieg jej trwał 6¾ lat. W r. 1845 rozdzieliła się na dwie części, które zaginęły bez śladu i dopiero w 1872 r. wskutek spotkania się ziemi nastąpił liczny spadek meteorów, również w d. 27 listopada.

Opieszałość. *Warsz. Dniewnik* donosi, że w domu pod Nr. 43 na ulicy Żurawiej zastrzelił się niejaki p. N. Jakkolwiek natychmiast dano znać policyi o wypadku, władze lekarskie i sądowe w ciągu 5 dni nie zjawiły się wcale, trup zaś uległ tymczasem zupełnemu rozkładowi.

Czelność. Niejaki E. urzędnik drogi terespolskiej, który roztrwonił powierzone mu pieniądze, został przez sąd przysięgłych uniewinniony. Obecnie w charakterze pokrzywdzonego wytoczył on proces zarządowi kolei, żądając wypłaty... zaległej pensyi za 19 miesięcy, podczas których ukrywał się lub siedział w kozie.

Szkoły na Szląsku austryackim. W r. 1883/4 w ks. Cieszyńskiem było szkół ludowych 202, podług zaś języka wykładowego: polskich 128, czeskich 49, niemieckich 15, niemiecko-czeskich 4 i niemiecko-polskich 6. Dotychczas niema jednak wcale seminaryum nauczycielskiego z językiem wykładowym polskim, ale za to dla 15 szkół niemieckich istnieją aż dwa tego rodzaju zakłady.

Teatr. W Teatrze rozmaitości wystawiono po raz pierwszy w przekładzie polskim starą komedyę Dumasa syna *Półświatek* (Demimonde). W ten sposób „odświeża się" repertuar.

Sądy przysięgłych. Liczba spraw roztrząsanych z udziałem przysięgłych ma być ograniczona. Na sędziów wybierani będą jedynie ci, którzy otrzymali pewne wykształcenie, bądź też znajdowali się lub są obecnie w służbie rządowej. Wszystkie sprawy o kradzież będą wyłączone z pod kompetencyi sądów przysięgłych.

Nowe banknoty rosyjskie wypuszczone będą w r. prz. w sumie 91 milionów rubli.

Emigracya włościan galicyjskich do Ameryki wzmogła się w r. b. Rząd austryacki zapobiega jej w ten sposób, że poleca konsulom swoim w miastach portowych starać się o zatrzymanie wychodźców i odstawienie ich napowrót do kraju. Dobry środek!

Sprawozdanie. Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii umiejętności w Krakowie odczytano treść pracy prof. Olszewskiego: „Porównanie termometrów gazowych w niskich temperaturach." Pamiętnik wydziału zawiera: G. Ossowskiego, *Jaskinie Ojcowa* pod względem paleontologicznym, Rostafińskiego *De plantis quae in Capitulari Caroli Magni commemorantur*, Frankego — *O wyrównaniu chyżości biegu nieustannego machin parowych*, W. Kulczyńskiego, *Pająki kamczackie*, zebrane przez prof. Dybowskiego.

Kara. Notaryusz p. Wydżga za przyjęcie i spisanie aktu, od osób nieznanych, które jak się później okazało przedstawiły dokumenty fałszywe, skazany został na złożenie z urzędu.

Ustawy wyższych, specyalnych zakładów naukowych zmienione będą według zasad nowej ustawy uniwersyteckiej. Zmiany dotyczą sposobu mianowania profesorów, urządzenia prywat—docentury i wprowadzenia egzaminów państwowych.

Sprawozdanie z działalności sądu okręgowego warszawskiego zaznacza, że w r. 1884 weszło nowych karnych 1495, załatwiono 1365, pozostało wraz z zaległościami lat poprzednich 1608 spraw niezałatwionych. Ponieważ corocznie prawie więcej spraw wchodzi, aniżeli sąd ich rozstrzyga, więc też liczba zaległości stale wzrasta.

Zmarli. A. Maffei, znany poeta włoski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Hus. w Żyrardowie. Odebrano.

Stan. M...skiemu. Wydanie to jest właściwie dawniejszem paryskiem, oprócz kilku braków zupełnem; kosztuje rs. 7.

Powieść ta była drukowaną w *Wieńcu* i osobno nie wyszła.

P. Wit. H. Aspazya wyjdzie w osobnem, pełniejszem wydaniu w styczniu.

P. W. Her. w Charkowie. Za połowę ceny. „Początkowe" zeszyty stanowią całą prawie książkę, która w obecnym kwartale się kończy.

P. An. Drog. w W. Uwagi pańskie pomieścilibyśmy chętnie, gdyby nie były tak długie. Dotąd nie mamy dla nich miejsca.

Semicie. Odebraliśmy.

E. Iw. w Sn. Mapa polska na płótnie rs. 5.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują pr końcu każdego kwartału dodatek bezpłatn składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Ноября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.